

Biblioteka Pedagogiczna CEN w Białymstoku  
nr inw.: KG - 104260



BC KSK / 104260

SPÓŁKI  
LWÓW

Serj:

Każdy tomik jest zaopatrzone wstępem krytycznym, objaśnieniami, genezą utworu, charakterystyką osób i do-  
ładną treścią dla użytku młodzieży szkolnej, opracowany  
przez wybitnych pedagogów.

1. Brodziński: „Wiesław“, wyd. II., opracował B. Janusz.
2. Kochanowski: „Treny“, wyd. II., opracował B. Janusz.
- 3-4. Krasiński: „Nieboska komedia“, wyd. II., opracował Adam Sulima.
- 5-6. Słowacki: „Lilla Weneda“, Hymn, Grób Agamemnona, wyd. II., opracował Adam Sulima.
7. Kochanowski: „Odprawa posłów greckich“, wyd. II., opracował Adam Sulima.
8. Słowacki: „Jan Bielecki“, oprac. dr. H. Biegeleisen.
- 9-10. — „Anielli“, wyd. II., opracował Zbigniew Zaturski.
- 11-12. Fredro: „Zemsta“, wyd. II., opracował Jan Stur.
- 13-14. Mickiewicz: „Grażyna“ i „Oda do młodości“, wyd. III., opracował Jan Stur.
- 15-16. Niemcewicz: „Powrót posła“, wyd. II., oprac. Jan Stur.
- 17-18. Malczewski: „Marja“, opracował Adam Sulima.
- 19-20. Mickiewicz: „Konrad Wallenrod“ i „Farys“, wyd. II., opracował Adam Stodor.
- 21-23. Mickiewicz: „Ballady i romanse“, opracował Jan Stur.
24. Słowacki: „Ojciec zadżumionych“, opracował dr. Henryk Biegeleisen.
- 25-26. Mickiewicz: „Dziady“ cz. I, II i IV., opracował dr. H. Biegeleisen.
- 27 28. Zabłocki: „Fircyk w zalotach“, opracował Zbigniew Zaturski, wyd. II.
- 29-30. Szekspir: „Makbet“, opracował dr. J. Pogonowski.
- 31-32. Krasiński: „Przedświt“, opracował dr. J. Pogonowski.
- 33-34. Słowacki: „Kordjan“, opracował Adam Sulima.
35. Mickiewicz: „Sonety i wiersze różne“, opr. Adam Sulima.
- 36-37. Goszczyński: „Zamek Kaniowski“, oprac. B. Janusz.
38. Krasiński: „Irydjon“, opracował Adam Sulima.

BIBLIOTEKA KRYTYK LITERACKICH — Nr. 10.

HENRYK SIENKIEWICZ.

K O M E N T A R Z

do powieści

# PAN WOŁODYJOWSKI

(Wstęp, tło historyczne i charakterystyka postaci).

OPRACOWAŁ

**Prof. Dr. Zbigniew Zaturski.**

— Spółka wydawnicza „Vita“ Lwów, Pasaż Hausmana 8. —

Skład główny w księgarniach:

Dra M. Bodeka || A. Bardacha  
ul. Batorego 16. || ul. Krakowska 1.

L w ó w.





884 (091) A/W

## TREŚĆ „PANA WOŁODYJOWSKIEGO“.

### WSTĘP.

Po wojnie węgierskiej, po której odbył się ślub pana Andrzeja Kmicica z panną Aleksandrą Billewiczówną, miał także wstąpić w związki małżeńskie z panną Anną Borzobohatą Krasieńską równie sławny i zasłużony kawaler, pan Jerzy Michał Wołodyjowski, pułkownik chorągwi laudańskiej. Ale pojawiły się rozmaite nieprzewidziane okoliczności, które sprawę opóźniły i przewlokły. Panna Borzobohata była wychowanicą księżnej Jeremowej Wiśniowieckiej, bez której pozwolenia żadną miarą na wesele zgodzić się nie chciała, musiał więc pan Michał pannę pozostawić w Wodoktach, sam zaś jechać do Zamościa po pozwolenie i błogosławieństwo. Nie świeciła mu jednak pomyslna gwiazda, gdyż księżnej w Zamościu nie zastał, która dla edukacji syna udała się do Wiednia, na dwór cesarski. Wytrwały rycerz podążył za nią do Wiednia, choć mu to dużo czasu zabrało. Tam załatwiwszy sprawę szczęśliwie, wrócił do ojczyzny z dobrą otuchą. Po powroście zastał niespokojne czasy. Wojsko szło do związku, na Ukrainie bunty trwały — od wschodniej ściany nie gasł pożar. Zaciągano nowe wojska, aby choć jako tako granice osłonić. Zanim więc pan Michał z powrocie tem do Warszawy dojechał, zastał listy zapowiednie, na jego imię wydane z ramienia wojewody ruskiego.



Uważając zaś, że sprawa publiczna przed prywatną iść powinna, myśli o prędkiem weselu poniechał, a na Ukrainę ruszył. Kilka lat w tamtych stronach wojował, mając zaledwie stosowną porę list od czasu do czasu do utęsknionej panienci posłać, żyjąc w ogniu, w niewypowiedzianych trudach i pracy. Potem do Krymu posłował; potem przyszedł rokosz Lubomirskiego, ta nieszczęśliwa wojna domowa, w której mały rycerz służył po stronie królewskiej przeciw onemu bezcznikowi i zdrajcy. Następnie pod panem Sobieskim znów ruszył na Ukrainę. Rosła stąd sława jego imieniowi tak znaczna, że go powszechnie za pierwszego żołnierza Rzeczypospolitej uważano, ale lata płynęły mu w trosce, wdychaniach, utęsknieniu. Ale nadszedł wreszcie rok 1668, w którym z rozkazu pana kasztelana na wypoczynek odesłany, z początkiem lata po miłą pannę pojechał i zabrawszy ją z Wodoktów, do Krakowa podążył. Księżna Gryzelda bowiem, która już wróciła tymczasem z cesarskich krajów, tam go na wesele zapraszała, sama ofiarując się być matką paniencie. Wszystko zdawało się już pomyślnie dla pana Wołodyjowskiego układać, gdy tymczasem losy zupełnie inaczej postanowiły.

## ROZDZIAŁ I.

Pewnego pięknego dnia jesiennego siedział sobie pan Andrzej Kmicic pod cienistym dachem letniska popijając miód poobiedni i spoglądając przez obrosłe dzikim chmielem kraty na żonę, która przechadzała się pięknie umiecioną ulicą przed letniskiem. Niewiasta była urodziwą nad miarę, jasnowłosa, o pogodnej, nieledwie

anielskiej twarzy. Wtem przyszedł pacholek, dając znać, że przyjechał pan Charłamp. Ledwo go Kmicic prosić kazał, aliści sam nadszedł, a pan Andrzej szeroko na jego przywitanie otworzył ramiona. Charłamp jednak oddał najpierw niski pokłon Olence, ucałował jej rękę, następnie zaś rzucił się w objęcia Kmicica i zaszlochał. Na zapytanie gospodarza, co mu jest, odparł stary wojak, że Wołodyjowskiego spotkało wielkie nieszczęście, a mianowicie zmarła jego narzeczona, Anusia Borzobohata. Następnie pan Charłamp począł opowiadać szczegóły o śmierci Anusinej i o rozpaczach Wołodyjowskiego, który wypadł od jej ciała do sieni, z sieni na podwórzec, gdzie zataczał się jak pijany. Pan Charłamp pojechał natychmiast do Skrzetuskich, bo koniecznie kogoś z przyjaciół trzeba było, by pana Michała do opamiętania wezwać, ale nie zastał w domu Skrzetuskiego, bo z Zagłobą w Kaliskie wyjechał. A tymczasem Bóg wie, co się tam z panem Michałem dzieje. Zamknął się nieborak w pokoju i nikogo widzieć nie chce. Pani Kmicicowa poczęła natychmiast namawiać swego męża, aby niezwłocznie jechał do przyjaciela, gdyż nie można go tak zostawić. Nie bardzo rad był temu pan Andrzej, więc się początkowo wzbraniał, ale ostatecznie, na usilne namowy żony, zgodził się jechać.

## ROZDZIAŁ II.

Jakoż dobrze jeszcze przed zachodem słońca ruszył rycerz, żegnany przez żonę łzami i krzyżem. Dobrawszy się do Wilna, jechał na Grodno, Białystok, a stamtąd do Siedlec się przebieirał. Przejeżdżając przez Łuków, dowiedział się, że państwo Skrzetuscy z dzie-



émi i z Panem Zagłobą po przedniego dnia powrócił właśnie z Kaliskiego, więc postanowił do nich wstąpić, bo z kimże mógł nad ratowaniem Wołodyjowskiego skuteczniej się naradzić. Skrzetuscy przyjęli go z radością, ale gdy się dowiedzieli, jaką nowinę przywozi, radość w smutek się obróciła. Skrzetuski nie mógł jechać, gdyż obrano go właśnie do sądów kapturowych. Było wówczas bezkrólewie, albowiem król Jan Kazimierz z tronu ustąpił. Zaczęli tedy wszyscy wspólnie radzić, aż wreszcie Zagłoba wyratował ich z kłopotu. Poradził Janowi Skrzetuskiemu, bóg został, bo mu jechać nie wolno, a panu Andrzejowi, by natychmiast wracał do domu, gdzie jest niezbędnie potrzebny, sam zaś postanowił jechać do Wołodyjowskiego. Stary szlachcic znał nawskróś naturę pana Michała i wiedział, że on więcej ożenku, niż swojej dziewczyny żałował. To też pan Zagłoba postanowił go wyleczyć ze smutku i ożenić. Kazał natychmiast wyrostkowi pakować rzeczy i oznajmił, że będzie tak szybko jechał, jak tylko będzie mógł. Ani go niewygody po drodze nie zatrzymają, ani cudza gościnność nie skusi.

### ROZDZIAŁ III.

Jednakże nie jechał tak szybko pan Zagłoba, jak to sobie i towarzyszom obiecywał. Im zaś był bliżej Warszawy, tem wolniej jechał. Był to czas, w którym Jan Kazimierz, król, polityk i wódz wielki, pogasiwszy pożary postronne i wywiódłszy Rzeczpospolitą jakoby z toni potopu, rzekł się panowania. Wszystko on przecierpiał, wszystko przetrwał, wszystkim ciosom piersi nadstawił, które szły od zewnętrznego nieprzyjaciela,

ale gdy potem wewnętrzne kraju naprawy zamierzył i zamiast pomocy od narodu, oporu tylko i niewdzięczności doznał, wówczas dobrowolnie zdjął z poświęconych skroni tę koronę, która nieznośnym ciężarem mu się stała. Prymas, ksiądz Prażmowski, naznaczył 5. listopada konwokację. Różni się tam ubiegali o koronę, a najwięcej cudzoziemców. Każdy szukał sobie i zjednywał stronników. Zjeżdżali się tedy do Warszawy różni ludzie, jechali posłowie z czeladzią i pacholkami, jechali senatorowie, a przy każdym dwór wspinały. Po drogach było ciasno, gospody zajęte, a wynalezienie noclegu z wielką połączone mitręgą. Zagłoba miał już sławę i mir między szlachtą; gdzie się ukazał, a zapytany, kto zacy jest, odpowiadał: Zagłoba sum! — wówczas natychmiast mu miejsca ustępowano i ścisano serdecznie. Raz tak w drodze napotkał w jednym zajeździe niezmiernie bogaty dwór i dowiedział się, że to książę Bogusław Radziwiłł tu zajechał. Na tę wiadomość stary szlachcic aż się zatrzęsł z oburzenia i pojechał dalej. Widział wyraźnie, że źle się dzieje w tej Rzeczypospolitej, kiedy tacy przedawcykowie bez czci i sumienia jeżdżą sobie bezkarnie, mieszają się do spraw obywatelskich, co więcej piastują godność posłów. Tak rozmyślał Zagłoba, zbliżając się do Warszawy. Niebawem spotkał miłego mu znajomego, Haslinga-Ketlinga, który po wojnie szwedzkiej otrzymał szlachectwo polskie. Na granicy Kurlandji znalazł człowieka tego samego nazwiska, który go za syna uznał i majątkiem obdarzył. Zaczął Zagłoba mu winszować, a Ketling go do siebie zaprosił, bo miał dworek na Mokotowie. Po drodze opowiadał mu stary



szlachcic o nieszczęściu, jakie w pana Wołodyjowskiego ugodziło, a on ręce nad nim łamał, bo nic o tem nie wiedział.

#### ROZDZIAŁ IV.

W kilka dni później otwarto sejm konwokacyjny, a marszałkiem obrano Chrapowieckiego, podkomorzego smoleńskiego. Zaraz z początku na sejmie podał Ketling w wątpliwość wybór księcia Bogusława Radziwiłła, a jakiś potężny głos z pomiędzy publiczności zawołał na księcia: Zdrajca! Mimoto wybór księcia został za twierdzony. a sam książę dowiedziawszy się, że to Zagłoba tak go przed wszystkimi napiętnował imieniem zdrajcy, okropnym zawrzał gniewem, lecz bał się narażać sobie Zagłoby, wiedząc, ile on między szlachtą znaczy. Sam z nim mówił bardzo łaskawie i nawet przyjaźń ofiarował, rękę do niego życzliwie wyciągając. Ale Zagłoba azczwany lis, odparł mu zaraz, że jest chudopacholkiem i że to za wysoka dla niego przyjaźń. Spotkanie to z księciem miało miejsce u wielkiego hetmana Sobieskiego. Tam też dowiedział się Zagłoba od pana Warszyckiego, kasztelana krakowskiego, że Wołodyjowski do kasztoru Kamedułów wstąpił. Wszyscy go żalowali i pan hetman Sobieski zżymał się na to, że Rzeczpospolita takiego znakomitego żołnierza traci. Rozżalony tą wieścią Zagłoba poprzysiągł sobie, że pan Michał nie zostanie Kamedułą, choćby miał na ten klasztor najazd uczynić, albowiem Pan Bóg stworzył Wołodyjowskiego dragonem nie księdzem.

#### ROZDZIAŁ V.

Nazajutrz zaopatrzwszy się w listy księcia pry-masa i ułożywszy cały plan z Ketlingem, zadzwonił Zagłoba do furty klasztornej. Otrzymałszy pozwolenie wszedł śmiało i czekał brata Jerzego, bo tak tu przewzali pana Michała. Ledwo go poznał. Zmizerniał mocno mały rycerz i na wszystko, co mu prawił Zagłoba odpowiadał tylko: „Memento mori“ (t. j. pamiętaj o śmierci). Zagłoba wciąż go namawiał, by choć na krótki czas opuścił klasztor, nie dał się wszakże pan Michał do niczego namówić. Nakoniec stary szlachcic oznajmił mu, że Ketling kona i chce mu dać jakieś przedśmiertne zlecenia. Nie było rady, więc Wołodyjowski przebrał się i otrzymałszy od przełożonego pozwolenie, opuścił klasztor. W dzodze kazał mu Zagłoba dać słowo, że cokolwiek się z Ketlingem okaże, Michał zostanie z nimi przez miesiąc. Przyrzekł to mały rycerz, a gdy przybył do dworu Ketlinga. zebrani towarzysze witali go, jakby zmartwychwstałego. On czempredziej do Ketlinga pospieszył. Ten ujrzawszy go, wyskoczył z łóżka i zaczął ścisnąć i całować przyjaciela, przyznając się, że mu chorego udawać kazali. Dotknęło to trochę pana Michała, ale wnet nowy, niespodziany gość przybył i spędził chmurę z czoła małego rycerza. Był to hetman Sobieski. Zaszczyt, jaki spotkał przez te odwiedziny Wołodyjowskiego, zdumiewał żołnierzy. A hetman, powitawszy Ketlinga, ręce ku Wołodyjowskiemu wyciągnął, jakby błogosławił, a gdy go pan Michał za kolana uchwycił, Sobieski głowę mu ścisnął i spytał, czy już wśród nich pozostanie? Szlochanie wstrząsnęło piersią pana



Michała i przyrzekł, że zostanie. Potem siedli razem do uczy, a nażajutrz hetman przysłał Wołodyjowskiemu w podarku wspianalego rumaka.

## ROZDZIAŁ VI.

Ketling z Wołodyjowskim obiecywali sobie znowu strzemię przy strzemienu jeździć, przy jednym ogniu siadać, na jednej kulbace sypiać. Los ich jednak rozdzielił, gdyż Ketling musiał jechać do swego opiekuna do Kurlandji. Niebawem zjechała do Warszawy pani stolnikowa Makowiecka, siostra Wołodyjowskiego, a że Ketling oddał mu do rozporządzenia cały swój dwór, więc mu to bardzo w porę było, bo umieścił tu siostrę swoją wraz z towarzyszącymi jej dwiema pannami, odznaczającymi się niezwykłą urodą. Rad był Zagłoba z miłego towarzystwa, bo panny, dalekie krewnie stolnikowej, panna Krzysia Drohojowska i Basia Jeziorkowska były nietylko piękne, ale i wesole, a Zagłoba aż ręce zacierał na widok takiego towarzystwa dla pana Michała. I rzeczywiście Wołodyjowski rychło zajął się tem towarzystwem i spędzał długie godziny z obiema pannami, szczególnie zaś z Krzysią, której żał było strapionego rycerza, więc pocieszała go jak mogła po ciężkiej stracie.

## ROZDZIAŁ VII.

Pan Zagłoba miał największą pociechę z młodszej panienki, Baški, którą nazywał „hajduczkiem“. Była to wielka miłośniczka rzemiosła rycerskiego, więc uprosiła Wołodyjowskiego, aby ją uczył „fechtów“.

Mały rycerz tymczasem zakochał się w pannie Drohojowskiej, Basię jednak też polubił. Pierwsza próba „fechtów“ skończyła się porażką Basi. W czasie tej próby panienka przekomarzała się z Wołodyjowskim, twierdząc, że on nie potrafi jej szabelki z rąk wytrącić, a gdy jej to dwukrotnie uczynił, uciekła zawstydzona i ukryła się w stajni. Napróżno gonił ją Zagłoba. Panienka wybiegła ze stajni i wdrapała się po drabinie na dach. Stary szlachcic zalił się, że mu się tak wywdzięcza za to, że ją kocha. W tej pozycji zastał ją pan Nowowiejski, młody rycerz i podkomendny pana Wołodyjowskiego. Nadjechał on nagle i wiózł rozkaz od hetmana dla swego komendanta. Basia na jego widok zbiegła czempredzej po drabinie i zeskoczyła na ziemię. W kilka chwil potem w izbie dworu urządziła sobie inną zabawkę: zaczęła przedrzeźniać Nowowiejskiego, naśladując jego ruchy. Gdy to młody rycerz spostrzegł, była zmuszona go przeprosić.

## ROZDZIAŁ VIII.

Hetman Sobieski wezwał do siebie Wołodyjowskiego, pragnął bowiem dać mu komendę po Ruszczycu, którego do Krymu wyprawił. Mały rycerz wedle instrukcji hetmańskich miał objąć zwierzchnictwo wojskowe nad granicą wschodnią kraju, gdzie zaczęli się burzyć białogrodzcy Tatarzy. Wołodyjowski przystał na to bez wahania, tem bardziej, że na elekcję miał wrócić do Warszawy.

## ROZDZIAŁ IX.

Mały rycerz począł powoli przygotowywać się do drogi, przedtem jednak znalazł sposobność, by wy-



znać swą miłość Krzysi. Na koniec tej sceny trafiła Basia, ale widocznie domyślając się, jaki stosunek łączy już Wołodyjowskiego z Krzysią, uciekała do stajni, gdzie ją znalazł mały rycerz. Była tak zamyślona, że go wcale nie spostrzegła, gdy wchodził. W oczach miała łzy.

## ROZDZIAŁ X.

Na drugi dzień potem namówiła stolnikowa młodych, by przejechali się saniami. W pierwsze wsiedli Wołodyjowski z Krzysią. Po drodze pan Michał oświadczył się o jej rękę i uzyskał zgodę, ale za radą pięknej panienci cała ta sprawa miała zostać na pewien czas w ścisłej tajemnicy. W drugich saniach jechał młody pan Nowowiejski z Basią. Ten również oświadczył się o rękę swej towarzyski, ale otrzymał stanowczą rekuzę.

## ROZDZIAŁ XI.

Pan Wołodyjowski pojechał przez Częstochowę, gdzie się zatrzymał na Anusinyim grobie, aby się za nią pomodlić. Smutno się zrobiło po jego wyjeździe we dworze Ketlinga, a już najsmutniej było Basi, bo za małym rycerzem przepadała. Aż dnia jednego przyjechał sam gospodarz domu. Zmrok był, gdy wszedł do komnaty, gdzie siedziała Krzysia. Stała w blaskach zachodzącego słońca, taki piękny i wspaniały, jak król Lewicz z bajki. Oboje ze zdumienia w pierwszej chwili słowa nie mogli przemówić. Aż on pierwszy zaczął mówić i przedstawił się pięknej pannie jako Ketling of Elgin. Krzysi zdawało się, że ją nagle jakieś nieogarnione szczęście objęło, a zarazem trwoga wzbudziła

się w jej sercu. Rycerz pochylił głowę w kornym ukłonie i zamiatał przed nią piórami od kapelusza podłogę na znak czci głębokiej. Dalszą rozmowę przerwał wejście Zagłoby — a potem nadjechała i pani Makowiecka z Basią. Basia przedewszystkiem dopytywała się, czy Ketling starszym jest żołnierzem i czy panu Michałowi dotrzymałby w walce na szable. A gdy Zagłoba powiedział, że nie, klaskała z radości w ręce, jak dziecko, ciesząc się, że pan Michał sławniejszy i dzelniejszy rycerz. Nastąpił teraz dni piękne i wesołe, Krzysia tylko zaczęła się czegoś smucić. Nadeszła wreszcie chwila, kiedy sama poznała przyczynę tego smutku: oto zbyt prędko i przedwcześnie zdecydowała się oddać swą rękę panu Wołodyjowskiemu.

## ROZDZIAŁ XII.

Z każdym dniem budziła się coraz gorętsza miłość w sercu Krzysi dla Ketlinga, mimo, że piękna panienska sama się przyznać do tego przed sobą nie chciała. W sercu Szkota również się budził bardzo gorący afekt. Uczuć swych dotąd jednym słowem nie wyjawiał, ale całe postępowanie wskazywało jak bardzo Krzysię kocha. Zagłoba był ogromnie zadowolony z takiego obrotu sprawy, albowiem w duchu przeznaczył Basię nie Krzysię dla Wołodyjowskiego za żonę. Teraz czekał tylko chwili, w której Ketling oświadczył się o rękę panny Drohojowskiej.

## ROZDZIAŁ XIII.

Na czas Wielkiego Tygodnia przeniosło się całe towarzystwo z Ketlingowego dworu do Warszawy



Młodzi byli teraz ciągle ze sobą. Ketling dla uprzyjemnienia swoim gościom pobytu, zaprowadził ich do królewskiego zamku, by go oglądnęli. Stolnikowa z Basią była u chorej krewnej, do zamku poszła tylko Krzysia, Zagłoba i Ketling. Oglądnęli już wszystko i zatrzymali się przed wąskim korytarzykiem, wiodącym z pokoiów królewskich do kaplicy. Zagłoba nie chciał iść z nimi, wymawiając się zmęczeniem. Usiadł sobie na fotelu, a stróż otworzył Ketlingowi korytarz, a on podał rękę Krzysi i prowadził. Gdy się już znaleźli w kaplicy, Ketling pokazał fotel, na którym siedziała królowa i rzekł do Krzysi, by na nim usiadła. Potem patrzył na nią w milczeniu; zrobiła się cisza prawdziwie kościelna. W końcu obsunął się zwolna do nóg Krzysinych i głosem wzruszonym lecz spokojnym wyznał swą miłość. Piękna panienska się rozplakała. Przy wyjściu wyznała pięknemu Szkotowi, że go z całej duszy miłuje, ale nigdy jego żoną nie będzie. Poprosiła go również, aby o wszystkim, co było, zapomniał.

#### ROZDZIAŁ XIV.

Po wyjściu ze zamku Ketling odszedł, pożegnawszy się, a Krzysia z Zagłobą wrócili do domu, gdzie pani Stolnikowa oznajmiła zaraz o liście, jaki dostała od męża i od Wołodyjowskiego. Pan Michał pisał, że wróci niebawem i dołączył serdeczne pozdrowienie dla Krzysi. Wzajemne wyznanie miłości w kościele, a potem ten list pana Michała, to były jak gdyby dwa głośzące uderzenia dla nieszcześliwej dziewczyny. Piękna panienska martwiła się bez miary, żałując swej nierozmyślności, że litując się kiedyś nad Wołodyjowskim

i polubiwszy go przyrzekła, że zostanie jego żoną. Czuli, że teraz nie mogłaby tego uczynić, czuli wyraźnie, że Ketling zabrał jej całe serce. Za jej było bardzo tego co popełniła, więc teraz nie wiedziała, co począć. Piękne sny i marzenia pierzchły i znikły bez śladu, pozostała tylko twarda, ciężka i nieubłagana rzeczywistość. Klasztor wydał się Krzysi jedynym ratunkiem.

#### ROZDZIAŁ XV.

Zdecydowawszy się na wstąpienie do klasztoru, Krzysia uczuła się znacznie spokojniejszą. Wśród poplątanych ścieżek i manowców wybrała sobie drogę ciężką niezmiernie, ale nie błędną. Wstępując na nią wiedziała przynajmniej, dokąd dojdzie. Przedewszystkiem jednak postanowiła widzieć się z Ketlingiem i rozmówić się z nim po raz ostatni, aby go od wszelkiej przygody zasłonić. Przyszło jej to niełatwo, bo Ketling nie pokazywał się przez kilka następujących dni i na noc nie wracał. Krzysia poczęła wstawać co dnia i chodzić do pobliskiego kościoła Dominikanów w tej nadziei, że któregośkolwiek ranka spotka go i rozmówi się z nim bez świadków. Jakoż w kilka dni później spotkała go w samej bramie, więc przystąpiła doń i oznajmiła mu, że wstępuje do klasztoru. W niedługi czas potem Ketling oznajmił swoim gościom, że wyjeżdża do Szkocji, albowiem odebrał listy stamtąd od dawnych przyjaciół swego ojca. Sprawy wymagają, aby się tam udał koniecznie i to może nawet na długo.



## ROZDZIAŁ XVI.

Zagłoba, który szczerze pragnął, aby Wołodujowski ożenił się z Basią, uląkł się teraz, że odjazd Ketlinga powikła mu i uniemożliwi spełnienie wszystkich planów. Obawiał się, że pod nieobecność Szkota pan Michał oświadczy się o rękę Krzysi, tem więcej że już przedtem mu się podobała. Zaczął więc badać Ketlinga, lecz ten nic nie chciał wyznać. Gdy starał się przeniknąć tajniki serca Krzysi, ta otwarcie mu wyznała, że ma zamiar wstąpić do klasztoru.

## ROZDZIAŁ XVII.

Tymczasem termin elekcji nowego króla zbliżał się coraz bardziej. W Warszawie roiło się na ulicach i po zajazdach od szlachty, panów i ich dworzan. Zagłoba wśród tłumów szlachty czuł się jak ryba w wodzie, coraz rzadziej zaglądał do mokołowskiego dworku, natomiast coraz częściej rej wodził na zgromadzeniach szlacheckich. Panie zostały same w domu, gdyż i Ketling znikł. Czas biegł szybko i pewnej nocy zjechał pan Wołodujowski w towarzystwie pana Makowieckiego. Gdy po przyjeździe mały rycerz chciał się przywitać z Krzysią, dowiedział się ku swej rozpaczy i przerażeniu, że ta piękna panna postanowiła wstąpić do zakonu.

## ROZDZIAŁ XVIII.

Pan Wołodujowski, trawiony zgryzotą i rozpaczą, przez dłuższy czas nie był w stanie opamiętać się z bólu. Miał wrażenie, że go ściga i prześladuje na

każdym kroku jakieś przekleństwo. Nakoniec, nie mogąc dłużej znosić męczącej niepewności, postanowił za wszelką cenę zyskać jakąś pewność i w tym celu rozmówił się stanowczo z Krzysią. Piękna dziewczyna nie podała małemu rycerzowi żadnych jasnych i wyraźnych przyczyn swego kroku, ale mimo to upierała się niezłomnie przy swem postanowieniu wstąpienia do klasztoru. Po tej decydującej rozmowie pan Michał z rozdartem sercem wyszedł z pokoju. W sieni spotkał Basię i sam nie wiedząc pod wpływem nadmiernego bólu i rozpaczy, co czyni, ubliżył jej słownie. Wówczas w Basi rozburzyła się prędką, jak płomień dusza, policzki rozgorzały i bez namysłu powiedziała małemu rycerzowi, że Krzysia dla Ketlinga idzie do klasztoru. Wołodujowski pod wpływem tej niespodziewanej wiadomości stanął jak słup kamienny, potem zaczął przecierać sobie oczy, nakształt człowieka, który się budzi ze snu. W jednej chwili zrozumiał wszystko. W kwadrans później pędził do Warszawy, aż wiatr wył mu w uszach, aż grudki ziemi leciały stadem z pod kopyt jego konia.

## ROZDZIAŁ XIX.

Zrozpaczona Basia pobiegła czempredzej do Zagłoby i namówiła go do natychmiastowej pogoni. Stary szlachcic nie namyślając się długo, wypadł na podwórze i natychmiast kazał zaprzęgać do karabona. Postanowił w Warszawie nie dopuścić, by mały rycerz pojedynkował się z Ketlingiem. W mieście zaraz na wstępie zaczęły się trudności, albowiem ani Zagłoba ani Basia, która mu towarzyszyła, nie wiedziały, gdzie obecnie mieszka Ketling, ani też dokąd mógł udać się



Wołodyjowski, szukać zaś w takim tłumie ludzi, było to szukać ziarna w korcu maku. Naprzód więc udali się na dwór hetmana wielkiego. Tam powiedziano im, że Ketling tego ranka miał wyjechać w zamorską podróż, Wołodyjowski zaś był, rozpytując się o niego, ale gdzie się udał, nikt nie wiedział. Przepuszczano, że może do chorągwi, stojących w polu za miastem. Pan Zagłoba kazał nawrócić ku obozowi, ale i tam nie można było złapać języka. Objechali jeszcze wszystkie gospody przy ulicy Długiej, byli na Pradze, wszystko napróżno. Tymczasem zapadła noc, a że o gospodzie nie było co i myśleć, więc oboje wrócili do domu. Nazajutrz świtaniem pan Zagłoba po raz drugi wyjechał do miasta dla dalszych poszukiwań, tym razem sam. Zanim wrócił, w dworku mokotowskim pojawił się Wołodyjowski z Ketlingiem.

## ROZDZIAŁ XX.

Szlachetny pan Michał przeboleł swoje nieszczęście i dowiedziawszy się o miłości przyjaciela, oddał mu Krzysię. Wyznał, że sam uznaje, iż oboje nie są winni jego zmartwieniu, albowiem sercu ludzkiemu rozkazywać nie można. Teraz pragnie tylko, by Krzysia i przyjaciel jego byli szczęśliwi. Basia, która była świadkiem tej sceny, nie mogła dłużej ze wzruszenia wytrzymać, więc wybiegła na korytarz. Tu ją spotkał pan Michał zanoszącą się od płaczu, więc spytał, czemu płacze? Basia podniosła główkę i wtykając jak dziecko, to jedną to drugą piąstkę w oczy, zanosząc się łkaniem, odpowiedziała, że żal jej jest pana Michała, bo jest taki zacny i poczciwy. Wówczas on

chwycił jej ręce i począł całować je z wdzięczności i rozrzewnienia, a zarazem prosić, aby przestała płakać. Lecz Basia tem bardziej zanosila się od płaczu i powiedziała, że Krzysia jest głupia, że nie chce Wołodyjowskiego na męża. Ona, Basia wołałaby jednego pana Michała niż dziesięciu Ketlingów. Wzruszony mały rycerz spytał dziewczynę, czy go zechce? Basia zgodziła się bez wahania. Wołodyjowski przycisnął ją do piersi, jak dziecko, a potem oboje wrócili do tej komnaty, z której pan Michał wyszedł przed chwilą. Tutaj mały rycerz przedstawił zgromadzonym Basię, jako swoją narzeczoną, swoje kochanie. Wszyscy byli zdumieni tym cudem, a najwięcej Zagłoba, który w międzyczasie wrócił z Warszawy.

## ROZDZIAŁ XXI.

Państwo Wołodyjowscy osiedli we wsi Sokole, gdzie ich zastał rok 1671. Sokół ów był perłą między majątnościami Wołodyjowskiego. Jak dawniej mały rycerz dzielnie bronił kraju, tak teraz dzielnie gospodarował, szabli z ręki nie wypuszczając. W Sokole młodzi małżonkowie hucznie podejmowali przyjaciół, a osobliwie pana Zagłobę i żyli sobie już cztery lata bardzo szczęśliwie, gdy nagle przyszedł rozkaz, by pan Michał objął komendę w Chreptowie, nad granicą mołdawską, by tam czuwać, stróżować, luźnym czambułem zabiegać drogę i okolicę z hajdamaków czyścić. Wnet był mały rycerz gotów do drogi, serce mu tylko rozdzierało się na myśl, że musi się z ukochaną żoną rozłączyć, ale Basia upierała się przy tem, by pojechać. Wołodyjowski nie umiał się tym prośbom Basi



oprzeć, a zresztą Zagłoba wezwany do rady, także po stronie Basi stawał. Więc ruszył pan Michał naprzód, by zagospodarować stanicę w Chreptowie i przygotować mieszkanie dla swej Basi.

## ROZDZIAŁ XXII.

W trzy tygodnie potem Wołodyjowski pisał do swej żony: „Jużże przyjeżdżaj, bo bez ciebie jako bez chleba i chyba do tego czasu uschnę zanim przyjedziesz“. Z listem przysłał oddział dragonów i Lipków, czyli Tatarów litewskich. Lipkami dowodził Azja Mellechowicz, człek młody, odważny, ale niepewnego pochodzenia. Wołodyjowski radził żonie w liście, by zupełnie ufała panu Szutce, dowodzącemu dragonami, ale niebardzo Mellechowiczowi. Baśce jednak to właśnie u wszystkich się głównie podobało, że byli mężni i bitni. Więc ponuremu Azji Mellechowiczowi nie okazywała wcale wzgardy, a nawet widząc jak inni towarzysze lekceważą go z powodu jego nieznanego pochodzenia, tem więcej okazywała mu względów. Młody przystojny Tatar, Mellechowicz, oddawna w służbie polskiej będący, wdzięczny był jej za życzliwość i choć zawsze ponury był i milczący, na jej widok zmieniał się. Wreszcie ruszono z wozami, pełnymi żywności i rzeczy do Chreptiowa. Młoda pułkownikowa czuła skrzydła u ramion i tak wielką radość w piersi, że chwilami brała ją ochota krzyżeć i skakać. Jechała z Zagłobą przez bory i dzikie jary. Październik dobiegał do połowy, ptactwo wędrowało ku Morzu Czarnemu. Tu i ówdzie wysoko na błękitie tkwiły orły, gdzieniegdzie chciwe jastrzębie zataczały koła, kraj stawał się coraz nierówniejszy, puszcza głucha, a jary

głębsze. Pod Mellechowiczem, jadącym na czele Lipków, potknął się koń nie bez szwanku dla jeźdźcy, który tak silnie rozciął sobie wierzch głowy, że aż przytomność stracił. Basia z Zagłobą przesiedli się zaraz na podwodowe konie, a Tatar kazała Basia ułożyć w powozie i wieźć ostrożnie. Odtąd przy każdej krynicy zatrzymywała pochód i własnymi rękoma obwiązywała rannemu głowę mokremi szmatami, Zachód słońca zaczerwienił niebo. Chreptiów był już niedaleko. Wtem na wzgórzu ukazało się pięciu jeźdźców. Był to Wołodyjowski z żołnierzami załogi. Basia i Pan Michał skoczyli ku sobie, poczęli się witać z wielką radością, a następnie sobie opowiadać, co się im wzajemnie przygodziło. Koniec podróży był już niedaleki. Wkrótce wjeżdżających w zagrodę chreptiowską otoczyły wąsate i groźne twarze żołnierskie, ale rozpromienione radością.

## ROZDZIAŁ XXIII.

Dworek w stаницy chreptiowskiej był nadspodziewanie wygodny i Basia wnet się tu rozgospodarowała. Najwięcej cieszyło ją życie żołnierskie, któremu dotychczas nie miała sposobności przypatrywać się zbliska. Pan Wołodyjowski nie próżnował, a i jego żołnierze żyli w ustawicznej pracy. Kochali Basię coraz więcej, bo o nich dbała, chorych i rannych doglądała, to też miała u nich coraz większy mir i posłuch. Gdy nadeszła jesień i wieczory stały się długie i ciemne, oficerowie będący podwładnymi pana Michała, zbierali się często w izbie komendanta przy kominie i zabawiali się opowiadaniem przeróżnych niepospolitych zdarzeń i przygód. W taki też wieczór pan Muszalski, słynny



łuczniak, opowiedział swoją przygodę z Dydiukiem.

#### ROZDZIAŁ XXIV.

Azja Mellechowicz z wolna przychodził do zdrowia. Pewnego dnia schwytano Tatara, który do niego wioził list od jawnego zdrajcy Rzeczypospolitej, Kryczyńskiego. Zaniepokoił się bardzo tym faktem Wołodyjowski a wezwana na naradę starszyzna rzekła, że Mellechowicz, wchodząc w stosunki ze zdrajcami ojczyzny, którzy jawnie do Tatarów przystał, sam widocznie knuje zdradę. Wezwano go przed oblicze małego rycerza i jego oficerów. Z początku zmieszał się bardzo, ale potem rzekł, iż ma hetmańskie pozwolenie do traktowania z takimi zdrajcami, jak Kryczyński, Morawski, Tworowski, Aieksandrowicz i inni, bo chociaż, oni do ordy przeszli, ale teraz pragną się nawrócić i do Rzeczypospolitej wrócić na służbę. Pokazał Mellechowicz nawet listy od Bogusza, któremu tę sprawę hetman polecił. Wobec tak oczywistych dowodów niewinności uwierzyli wszyscy i Mellechowicza przeprosili za posądzenie. Oficerowie, którzy przedtem ciągle okazywali mu nieufność i lekceważenie, teraz ręce wyciągnęli do niego. Lecz Azja, wyszedłszy z izby, zamknął się w swej kwaterze z owym schwytanym Tatarem Halimem, którego wysłał Kryczyński i kazał powiedzieć Kryczyńskiemu, że jest mądry, bo w liście nie było nic, coby jego Azję, mogło zgubić. Z rozmowy tej wynika, że Mellechowicz istotnie myślał o zdradzie Rzeczypospolitej, a pobudką działania była miłość ku żonie Wołodyjowskiego.

#### POZDZIAŁ XXV.

Do Chreptiowa często zajeżdżał ksiądz Kamiński

i spędzał wieczory u Wołodyjowskich przy owych gawędach. Pewnego razu opowiedział zebranym, dlaczego żołnierza stał się kapłanem. Po nim zabrał głos Nienaszyniec i opowiedział ciekawą historję, Matka, umierając, poleciła jego opiece siostrę, której było na imię Halszka, Nie miał żony ni dzieci, więc miłował ową dziewczynę jak żenicę oka. Potem poszedł na wojnę, a Halszkę zagarnęła orda. Gdy wrócił, z rozpaczy łbem tłukł o ścianę. Sprzedał wszystko, co miał i pojechał z Ormianami, by ją wykupić. Znalazł Halszkę w Balcysaraju, wśród niewolnic, miała 12 lat. Pokazało się, że za mało było tego, co przywiózł, żądali trzy razy tak wielkiego okupu. Chciał oddać samego siebie w niewolę w dodatku do tych przywiezionych pieniędzy, ale nic nie pomogło. W jego oczach kupił ją Tuhaj-bej. Pan Nienaszyniec wracał do Polski, włosy rwąc z rozpaczy. Po drodze dowiedział się, że w pewnym ałusie przymorskim mieszka jedna z żon Tuhaj beja z synalkiem. Postanowił porwać tego synalka, a potem za Halszkę wymienić. Sam tego uczynić nie mógł, trzeba było watahę na Ukrainie lub w Dzikiach polach skrzyknąć, co nie było łatwe, bo imię Tnhaj-beja było straszne. Ale włóczyło się dość takich mołojców, co tylko własnej korzyści szukali i wszędzie isć byli gotowi. Tych pan Nienaszyniec zebrał. Co przeszli, póki czajki nie wypłynęły na morze, tego żaden język nie wystowi. Ale Bóg pobłogosławił, pan Nienaszyniec porwał syna Tuhaj-beja, któremu było na imię Azja, poczem uszedł z nim do Kamieńca, aby zaraz przez kupców rozpocząć układy. Wszystkie łupy dał mołojcom, zostawiając tylko Azyę. Sądził, że mołojcy będą mu wierni, a zapomniał, że oni własnych



atamanów rozdzierają w sztuki, by się ich łupem podzielić. Blisko Kamieńca skusiła ich nadzieja bogatego za Azję okupu, więc w nocy napadli na pana Nienaszycina, jak wilcy, sznurem zdusili go za szyję, nożami popruli ciało, a sądząc, że już martwy, wrócili z dzieckiem. Bóg rannemu zesłał ratunek, wrócił zdrowie, lecz Halszka przepadła na wieki. Na ową kupę zbójów napadła inna, która odebrała im łupy, a zapewne także i małego Azję, Miał on wówczas ledwo trzy lata. Poznać go można po tem, że ma na piersiach wykłutą rybę, siną barwą napuszczoną.

## ROZDZIAŁ XXVI.

Dano znać, że jakaś zbójcecka wataha leży u Sierocego Brodu i zamyśla iść na Chreptiów. Pan Wołodyjowski zaraz wyprawę na nich urządził. Basia błagała, by ją koniecznie wziął ze sobą, bo jeszcze nigdy bitwy z bliska nie widziała, a przecież od tak dawna marzy o tem. Pan Michał zgodził się na to. Wataha leżąca u Sierocego Brodu, liczną być musiała, jeśli się odważyła zbliżyć do Cgreptiowa. Byli to Tatarzy, Wołosi, Kozacy i Węgrzyni, którzy kryli się po puszczech aby z nich stada wołów i koni napadać. Czasem też napadali na wsie i miasteczka lub na jadących z okupem do Krymu pośredników. Na czele tej watahy stał sławny zbój, czyli jak mówiono wówczas, grasant Azba-bej. Ucieszył się Wołodyjowski, gdy się dowiedział, z kim ma do czynienia. Wysłał zaraz chorągwie Mellechowicza, Motowidły oraz chorągiew generała podolskiego i podstolego przemyskiego. Basia asystowała bijącym przy sercem wyjściu wojsk, bo to była jej pierwsza

wyprawa. W trzy godziny potem wyszedł i Wołodyjowski z dragonami. Basia jechała po męsku przebrana, na cisawym bachmacie. Zdawała się być hetmańskim dzieckiem, które pod opieką starych wojowników na pierwszej naukę jedzie. Niebawem już zaczął Wołodyjowski wydawać rozkazy. Kazał Mellechowiczowi i Motowidle zamnać ogromnym kołem spoczywającą watahę. Zbójce byli w matni. Wszystkie chorągwie zjechały się w oznaczonym czasie, a tak cicho, że nikt ich nie posłyszał. Po chwili mały rycerz ze swoimi dragonami zaczął się spuszczać ze wzniesienia, na którym byli, ku krzakom, rosnącym na dole. Nieprzyjaciel wahał się i nie wierzył jeszcze, by go napadnięto, dopiero gdy spostrzegł, że wszystkie chorągwie nań jadą, zrozumiał swoje położenie. Zbójce skoczyli natychmiast ku swej obronie. Przestrzeń dzieląca jednych i drugich, poczęła się zmniejszać z przerażającą szybkością. Gdy już byli dość blisko, Wołodyjowski zakomenderował: ognia! Huk i dym, jakby wichur uderzył w kupę plewy. Zrozumieli grasanci, że ten wyjdzie żywy, kto się przebiję, więc zaczęli się bić z odwagą rozpaczy. Trup padał gęsto, kupa coraz się zmniejszała, co widząc Azba-bej, zbił swoich w klin i uderzył na szemców Motowidły. Część rabusiów wymknęła się tym sposobem w pole i rozleciała się po równinie. Lecz inni szli pod miecz. Basia ruszyła wraz z semenami, odwaga ją porwała. Cięła zamazyście i głowy znikały pod jej szablą. Wtedy do uszu jej doszedł głos męża: dobrze! Głos ów dodał jej otuchy, więc poczęła teraz szerzyć jeszcze większe kłęski. Ale tłok uczynił się srogim, to też Wołodyjowski kazał Basi cofnąć się



z kilkoma ludźmi z zamętu zwłaszcza, że półdzikie konie ordyńców jęły gryźć i wierzcąc. Cofając się zwolna koniem, wkrótce znalazła się poza kołem walczących. Trzech dragonów nadjechało z rozkazu Wołodyjowskiego dla pilnowania Basi. Upłynęło może z pół godziny. Chorągwie stłaczały się coraz mocniej. Nagle kupka grasantów, licząca może z dwudziestu jeźdźców, wyrwała się z morderczego koliska i poczęła biec. jak wichra, ku wzgórzu, gdzie stała Basia, która też natychmiast pomknęła, ale sama. Trzej wierni żołnierze stanęli murem na miejscu, aby choć przez chwilę powstrzymać nieprzyjaciela i dać kochanej pani czas odsadzenia się na większą odległość. Ale nie zdolali ich zatrzymać. Część wojska widząc to, rzuciła się za uciekającymi. Na wysokim stepie, poprzecinanym gęsto zdradliwymi rozpadlinami i jarami, utworzył się z jeźdźców jakby wąż olbrzymi, głowę jego stanowiła Basia, szyję grasanci, cielsko Mellechowicz z Lipkami i dragonami, a na ich czele Wołodyjowski. Dziańet Basi wyciągnął się jak sarna, wiatr świszczwał jej w uszach i zamiast strachu ogarnęło ją uczucie upojenia. Nagle zaczerniała przed nią rozpadlina. Basia wspięła konia ostrogami, rumak skoczył, lecz tylne nogi obsunęły mu się po stromej ścianie i runął wraz z Basią w skalistą szczelinę. Na szczęście nie przygniótł jej, o skałę także się nie potłukła, bo padła na gruby podkład mchu, ale wstrząśnienia było tak silne, że zemdliała. Wołodyjowski nie dojrzał wypadku, ale Mellechowicz wrzasnął na ludzi, by dalej ścigali grasantów, a sam dobiegłszy jaru, stoczył się na dół. Gdy zobaczył, że Basia żyje, okrzyk radości wyrwał się z jego piersi i chwycił ją na ręce. W tej chwili nad-

biegli inni, Wołodyjowski pierwszy skoczył na dno jaru, porwał omdlałą żonę, a inni skoczyli po wodę. Zagłoba chwycił swą manierkę i wlał Basi trochę gorzałki w usta. W kilka minut przysła do przytomności. Wołodyjowski uszczęśliwiony okrywał jej ręce pocałunkami i wypytywał, czy ją co nie boli, lecz Basia odparła, że jej nic nie dolega. Bitwa była skończona.

## ROZDZIAŁ XXVII.

W Chreptowie zastali Wołodyjowscy gości. Przybył pan Bogusz, który stąd miał przez Mellechowicza traktować z rotmistrzami tatarskimi, którzy poszli w sultańską służbę. Do pana Bogusza przyłączył się pan Nowowiejski z córką Ewą, jako też i pani Boska, także z córką młodziutką, bardzo urodziwą, panną Zosią. Przyjechały one umyślnie do Wołodyjowskiego z prośbami i listem hetmana, by im pomógł wyszukać Boskiego, ojca Zosi, którego przed laty orda zabrała w niewolę pod Kamieńcem. Wiedział hetman, iż Wołodyjowski z wielu murzami zawarł pobratymstwo więc prosił, by dał tym kobietom pobratymców, aby ułatwić uwolnienie jeńca. Wołodyjowski chętnie się na to zgodził, a żołnierze radzi byli, że ich pułkownik ma takie złote serce. Już to najserdeczniej podejmowała panią Boską i Zosię pułkownikowa, W ciągu rozmowy pan Nowowiejski oświadczył, że jedzie do Raszkowa do syna, który dawno już do wojska uciekł, a teraz jako mężny rycerz, wielkiej nabrał sławy. Tymczasem nim podano wiecierzę, otworzyły się drzwi i wszedł



Mellechowicz, by zdać sprawę ze swych czynności panu Wołodyjowskiemu. Pan Nowowiejski podniósł głowę, nadzwyczajne zdumienie odbiło się na jego obliczu. Poznał Azyę, którego dzieckiem znalazł na Ukrainie i który wychowany w jego domu, zbiegł pewnego dnia. Mellechowicz oświadczył zimno, że nie zna pana Nowowiejskiego. Ten ostatni oświadczył, że jeśli Azya jego człowiekiem jest istotnie, w takim razie ma na piersiach ryby siną farbą wyklute. Usłyszawszy to pan Nienaszyniec, porwał się za głowę i zakrzyknął: Azya Tuhaj-beyowicz! A młody Lipek podniósł dumnie głowę i nagle rozerwawszy żupan na swej szerokiej piersi, rzekł: O! ryby siną barwą wyklute. Jam jest syn Tuhaj-beja!

## ROZDZIAŁ XXVIII.

Umilkli wszyscy, tak wielkie wrażenie uczyniło imię straszego wojownika. Mellechowicz urósł w jednej chwili w oczach zgromadzonych. Młody Lipek skłonił się Wołodyjowskiemu i Basi tak nisko, że głową prawie jej kolan dotknął, zresztą nie spojrzawszy na nikogo więcej, wziął szablę pod pachę i wyszedł. Teraz dopiero zaczęto rozprawiać. Jedni się obawia zdrady, drudzy mówili, że przecie gdyby chciał zdradzić, mógł to już dawno uczynić, a tymczasem najdzielniej służył Rzeczypospolitej. Ewka, która dawniej na zalecanki młodego Azyi nie uważała, dziś innemi patrzyła na niego oczyma, a nawet pragnęła, by on, jak dawniej, okazywał jej swą miłość. I chociaż Tatar nie patrzył teraz na nią, ona wierzyła, że ją kocha, jak dawniej. Basia cieszyła się, że Ewkę zbliży do

Azyi, a jak sądziła, uczyni tem samem zadość sercu obojga młodych. Ciągłe też o tem przez resztę wieczoru mówiono. Mellechowicza na wieczerzy nie było. Siedział on w swej komnacie z panem Boguszem. Oświadczył mu, że gdyby pan hetman jemn, Azyi Mellechowiczowi, wolę i prawo dał, w takim razie nie tylko owych rotmistrzów tatarskich by wrócił, ale pół ordy na usługi hetmańskie postawił. Małoż to pustej ziemi na Dzikich Polach i na Ukrainie? Niech hetman jeno ogłosi, że który Tatar przyjdzie do Rzeczypospolitej, ten szlachcicem zostanie, w wierze ucisku nie będzie miał i we własnej chorągwi będzie służył, a wnet się cała Ukraina zamrowi. A gdy się rozgłosi, że syn Tuhaj-beja z mocy hetmana woła, wnet tysiące staną. Byłby na Ukrainie naród tatarski, jako jest kozacki. Chmielnickiego by drugiego nie było, bo uszlachceni Tatarzy nastąpiliby zaraz nogą Kozakom na gardziel, nie byłoby buntów chłopskich, rzezi, ani spustoszenia. A chciałaby potęga turecka na Polskę iść, wówczas Tatarzy pod wodzą Azyi Tuhaj-beyowicza biliby sułtana, a chciałby chan zagony zapuszczać, to chana. Pan Bogusz był zdumiony i przygnieciony temi słowami, Mellechowicz zaś nalegał, by poszedł z jego planem do hetmana. Szlachcic się zgodził i obiecał zaraz nazajutrz jechać do Jaworowa, do hetmana.

## ROZDZIAŁ XXIX.

Nazajutrz Basia naradzała się z panem Michałem i Zagłobą, jakby dwa serca kochające się Ewy i Azyi połączyć. Żal jej było, że przeszkody im stawia ojciec



i że Azya dlatego nie śmie nawet spojrzeć na Ewę. Tak sądziła. Nalegała nawet na Wołodyjowskiego, by się wystarał o szlachetwo dla Azji. Wtem wszedł pan Bogusz i zaczął wychwalać Azję i unosić się nad jego politycznymi pomysłami. Słowa jego tem więcej rozogniły uczucia pięknej panienki dla młodego Lipka.

### ROZDZIAŁ XXX.

Basia jeszcze tego samego dnia wypytała Mellechowicza o miłość dla Ewki. Azja był dziwnie milczący i ponury, a gdy mu Basia powiedziała, że Ewka go bardzo kocha, twarz jego wściekłością się pomarszczyła, chwycił się za głowę i zawołał: Ała, Ała! — poczem wypadł z izby. Tego dnia Azja się nie pokazywał, bo był u niego Halim, postaniec od Kryczyńskiego. Przyszedł on z oznajmieniem, że z wiosną na pewno będzie wielka wojna, oraz że on wszędy Tatarom o Tuhaj-beyowym synu prawi, a oni radzi słuchają.

### ROZDZIAŁ XXXI.

Zima pokryła grubą oponą śniegów jary, lasy i stopy, tak, że kraj cały zdawał się być jedną białą równiną. Pan Bogusz złązał wszystkimi siłami do Jaworowa, aby się wielkimi zamysłami Azyowemi z hetmanem podzielić. Znał Sobieskiego zmienionego bardzo, z obliczem, pełnem troski, bo też to były prawie najcięższe lata jego żywota. Jednak na widok Bogusza dobrotliwy uśmiech rozjaśnił oblicze hetmana. Przywitał go szczerze i kazał przynieść miodu. Szlachcic począł wszystko o Azji opowiadać hetmanowi.

Wyliczał, jakie ogromne usługi może ten Tatar oddać Polsce, jakie korzyści przyniesie zrealizowanie jego zamysłów. Lecz pan Sobieski chodził wielkimi krokami po komnacie, milcząc. Wspaniała jego twarz była mroczna, prawie groźna; chodził i widać w duszy rozmawiał nie wiadomo ze sobą, czy z Bogiem. Nagle zwrócił się do mówcy i rzekł krótko i węzłowato, że Azji takiego pozwolenia nie da, choćby nawet miał prawo dać. Zdumiony Bogusz jął natychmiast wypytywać, dlaczego hetman pozwolenia tego dać nie chce, a on mu tłumaczył, że najpierw nie przyszłoby tylu Tatarów, ilu obiecuje Azja, a potem któż zaręczy, że ten miecz, jakiby oni zawiesili nad karkiem Kozaków nie spadłby na Polskę? W piersi Mellechowicza mieszka najwidoczniej smok pychy, któż więc może zaręczyć, że w nim nie siedzi drugi Chmielnicki? Lepiej Polakom z Kozakami i Tatarami wojować, niżli imię swoje pohańbić. Przeznaczeniem Rzeczypospolitej jest być fortecą, w której Chrystus mękę swoją zatknął na murze.

### ROZDZIAŁ XXXII.

Pan Bogusz, otrzymawszy od hetmana odmowną odpowiedź, nie spieszył się z powrotem, tak, że minął Nowy Rok, a jego w Chreptiowie jeszcze nie było. Tymczasem w czasie zapustów Chreptiów zaroił się od gości, z których pan Zacharjusz, słynny z ciągłych podróży do Krymu, największą swym przyjazdem oddał usługę, bo mu Wołodyjowski polecił sprawę wykupu pana Boskiego i zaraz na jego ręce złożył na ten cel pieniądze. Jednego dnia wpadł do Chreptiowa, jak piorun, młody Nowowiejski. Był to such młodzie-



niec i rycerz niesłuchanej siły. Teraz promieniał szczęściem na widok dorodnej i kochającej go siostry, Niemniej przypadła mu do serca panna Zosia Boska. to też rad z nią rozmawiał.

### ROZDZIAŁ XXXIII.

Pan Wołodyjowski urządził w stannicy zabawę taneczną ze względu na czas zapustny a także i z tego powodu, aby Basi sprawić przyjemność, W zabawie tej wzięli udział wszyscy mieszkańcy Chreptiowia, a więc oficerowie, piękne panie i panienki wewnątrz domu komendanta, a żołnierze na podwórzu. Młody Nowowiejski rozkochał się od pierwszego wejrzenia w Zosi Boskiej i tańczył z nią aż do zmierzchu, aż drzazgi leciały z podłogi. Przez cały czas zabawy nie odstępował od niej ani na krok. Basia bawiła się również tańcem z zamiłowaniem. Przez całą noc gorzały okna domu komendanta, huczały, śpiewały grzmiały zabawą cały Chreptiów, choć to było w wigilię straszliwej wojny z potęgą turecką.

### ROZDZIAŁ XXXIV.

Młody Nowowiejski nie zasypiał sprawy. Ponieważ był młodzieńcem gorącym i szczerym, więc odrazu ojcu swemu powiedział, że nie chce innej dziewczyny za żonę, jeno Zosię Boską. Stary pan Nowowiejski nie był już teraz zbyt surowym dla swego syna. Młodzieniec był oficerem i to sławnym, chwalonym powszechnie, chlubą wojska i chlubą ojca. Sam Wołodyjowski mówił, że chciałby mieć takiego syna. Dlatego też stary szlachcic obiecał poprzeć sprawę syna u pań

Boskich. Gdy Adam Nowowiejski oświadczył się o rękę panny Zosi, pani Boska dała mu odpowiedź, iż dopóki mąż jej w niewoli, dopóty swego zezwolenia dać nie może. Doradził tedy, by obie osiadły tymczasem u nich w Raszkowie, a on się będzie starał wyszukać pana Boskiego. Dały się namówić i postanowiły wyjechać do Raszkowa.

### ROZDZIAŁ XXXV.

Po oświadczeniach młody Nowowiejski wyjechał do Raszkowa. Po jego odejściu ruszyła w drogę cała karawana dotychczasowych gości chreptiowskich. Ewa pozostała w Chreptiowie na wyraźne życzenie Basi, która gorąco pragnęła, by Azja zbliżyła się do zakochanej w nią panny. Ale Azja milczał. Przyparty do muru, obiecał Basi, że wyzna swą miłość Ewie, gdy je obydwie będzie odwoził do Raszkowa. Domagał się bowiem usilnie, by Basia także tam pojechała. W duszy jego dojrzywał równocześnie plan porwania pięknej pułkownikowej. Świeżo właśnie otrzymał list od pana Bogusza, donoszący o odmowie hetmańskiej. Na tę wieść młody Tatar wpadł w straszny gniew. Pismo stało na proch w rękę, w napadzie wściekłości kłął kindzałem stół. Wreszcie ochłonął z rozpacz, bo mu przysły do głowy nowe plany. Oczy mu zaświeciły, jak u dzikiego zwierzęcia. Gdy się dowiedział, że ma jechać do Raszkowa dla bezpieczeństwa kobiet, wydał rozkaz swemu Halimowi, aby pojechał natychmiast do Kryczyńskiego i kazał mu z wojskiem zbliżyć się do drugiej strony do Raszkowa.



## ROZDZIAŁ XXXVI.

Mimo gorących próśb Basi, mały rycerz początkowo żadną miarą nie chciał się zgodzić na jej wyjazd do Raszkowa. Chodziło mu głównie o to, że sam z nią jechać nie mógł. Ale prośby Ewy przemogły. Wołodajowski ustąpił wreszcie, oddając straż nad żoną i Ewą Lipkom pod wodzą Azji, który teraz w duszy trjumfował.

## ROZDZIAŁ XXXVII.

Oddział Czeremisów, dodany dla bezpieczeństwa pani Wołodajowskiej i Ewie Nowowiejskiej, szedł blisko milę naprzód, by drogi rozpatrywać i kwatery na odpoczynek przygotowywać. Za Czeremisami szedł drugi oddział Lipków, potem sanie z Basią i Ewką, a nakoniec mały oddział, zamykający pochód. Basia rozglądała się po okolicy, a Ewka szukała oczyma Azji, lecz go przy saniach nie było. Basia ją pocieszała, że czyni on to nie z obojętności, lecz że pełni służbę, a ta mu pierwsza. Jechano szybko, zbliżając się do gór koło Mohilowa. Śnieg był pod nogami. a księżyc jasno świecił nad głową. Azja kazał ostrożnie spuszczać sanie w jar, w którym leżał Mohilów, a kobiety podziwiały o miasto i okolicę. W Mohilowie wyszedł na spotkanie pani pułkownikowej pan Gorzeński, dowódca piechoty. Zaprosił on obie panie do fortalicji na wieczerzę, a przytem opowiadał rzeczy bardzo ciekawe. Mówił także o przyszłej wielkiej wojnie z Turkami, którą dotychczas jeno mróz na smyczy trzyma, bo ani Turcy, ani Tatarzy na zimę zagonów nie zapuszczali, gdyż nie mieliby czem

koni paść. Mówiono jednak o jakichś niepokojach ordy sprzymierzonej z Doroszem przeciw Rzeczypospolitej się buntującym. Więc pan Gorzeński wystąpił musiał wojsko, a sam pozostał ledwo z czterdziestu ludźmi. Usłyszawszy to Azja, okazał się bardzo wspaniałomyślnym i uprzejmym, bo zaraz panu Gorzeńskiemu pięćdziesięciu swoich Lipków zostawić obiecał. Gdy już mieli opuszczać Mohilów, Azja wydał rozkaz, by tu pozostał i na wszystko miał baczące oko i czujne ucho. Nazajutrz świtaniem ruszyli w dalszą drogę. Młody Tatar był wesół i tak ludzi gnał, że to aż zdziwiło Basię. Gdy go spytała czemu mu tak pilno, odparł, że każdemu do szczęśliwości tak pilno, jego rozpocznie się w Raszkwie. Drugi nocleg przypadł w Jampolu, Basi jednak jakoś dziwnie było i spać nie mogła. W Jampolu Azja znowu część swego wojska zostawił i tłumaczył Basi, że to dla zabezpieczenia drogi z powrotem. Spostrzegła Basia, że Azja stawał się coraz niespokojniejszy. Zdawał się na coś czekać. Zaniepokoiło to panią Wołodajowską, to też dosiadła dzianeta i dalszą drogę odbywała konno. Niedaleko Raszkowa zjawił się Halim i oznajmił Azji, że wszystko stało się według jego woli, to jest, że dowódcy tatarscy czekają w pobliżu na jego dalsze rozkazy.

## ROZDZIAŁ XXXVIII.

Śmiały junak zbliżył się do Basi, wyznał jej swą miłość i chwycił w ramiona. Przerażona kobieta w pierwszej chwili uczuła się bezbronną, ale ochłonawszy w tem szarpaniu się z nim, zaczęła szukać broni, i natrafiła na głównię pistoletu. W gnieniu oka wy-



dobyła tę broń i całą rozpaczliwą siłą swej młodej i dzielnej pięści uderzyła go, jak gromem, kościaną głównią między oczy. Cios był tak straszny, że Azja nie zdołał nawet krzyknąć i padł na wznak, pociągając ją za sobą. Basia podniosła się i wskoczywszy na swego dzianeta pomknęła jak wicher, w przeciwną stronę od Dniestru, ku szerokim stepom. Dzianet stulwszy uszy biegł na oślep wśród skał, rozpadlin, jarów, wyrw. Basia postanowiła umykać środkiem stepu do Chreptiowa, nie zbliżając się do Dniestru, bo tam były oddziały Lipków, zmówione z Azją. Zresztą spodziewała się pościgu w kierunku Dniestru. Bieg dzianeta zwolnił, więc dała mu wypoczynek. Wtem usłyszała bliskie rżenie. Zrazu była pewna, że to pościg, więc znowu puściła się pędem w step, ale po chwili przekonała się, że to bachmat Azji. Zawołała: Łosz, łosz! — i zwierz, przyuczony do ręki ludzkiej, zbliżył się i pozwolił schwytać za uzdę. Było to jakby zrządzenie Opatrzności. Mając dwa doskonałe konie, mogła Basia teraz umykać daleko szybciej.

### ROZDZIAŁ XXXIX.

Tymczasem ogłuszony Azja leżał długo, jak bez życia. Oprzytomniawszy, wsparł się na szabli i podniósł. Niebawem znalazł go dziesiętnik lipkowski. Tego wieczora miał Azja jeszcze tyle sił, że zarządził pościg za Basią, ale ten po kilku dniach wrócił bez rezultatu. Zrozpaczony pod wpływem tych niepowodzeń, syn Tuhaj-beja udał się do Paszkowa, gdzie się połączył z rotmistrzami tatarskimi, Kryczyńskim i Adurowiczem, miasto spalił i ztupił, nieliczną załogę wy-

ciął do ostatniej nogi a starego Nowowiejskiego własnoręcznie zarżnął kindżałem. Nasyćwszy żądzę zemsty ruszył w ziemie sułtańskie, uwożąc ze sobą panią Boską, jej córkę i Ewę Nowowiejską.

### ROZDZIAŁ XL.

Tymczasem Basia uciekała stepem przed domniemaną pogonią. Straszna to była ucieczka, tem bardziej, że miała przed sobą drogę przeszło mil dziecięciu. Pierwszej nocy wystraszyło ją stado dzików, następnego dnia miała groźne spotkanie ze zdziczałym futornikiem. To ją nauczyło, aby się nie zbliżać do osad ludzkich, albowiem w tych okolicach mieszkają sami nawpół dzicy ludzie. Trzeciego dnia zagryzły wilki jej konia, a na bachmacie Azjowym pędziła odtąd nieprzerwanie z największym trudem. Po kilku dniach jazdy około południa stanęła nad jakąś zamrzniętą rzeką. Łódź był naderwany, a brzegi rzeki wysokie. Basią spięła konia, bo jej zaświeciła nadzieja, że to już Chreptiów blisko. Ale niebawem koń się zaczął ślizgać, aż przy załamanej łodzi padł i połową ciała ugrzązł w wodzie. Zanurzał się coraz bardziej w każdą sekundą. Basia musiała puścić lejce i skoczyć na brzeg. Tam siadła i zaczęła szlochać, jak dziecko. Potem ogarnęła ją niemoc. Chciała już dobrowolnie zamerzeć, ale wspomniawszy Michała, zaczęła iść lasem. Zrzuciła delję, bo jej było ciężko iść, a została w samym tylko kożuszk. Po kilku godzinach ogarnęło się śmiertelne znużenie. Miała wrażenie, że już umiera, gdy nagle usłyszała przeraźliwe skrzypienie żórawi studziennych. Chreptiów był blisko. Resztą sił



przebiegła dalszą drogę, wpadła do komnaty, w której siedzieli pan Zagłoba i Wołodyjowski, poczem runęła jak martwa na podłogę.

## ROZDZIAŁ XLI.

Basia leżała ciężko chora. Żołnierze wciąż się dopytywali o swoją ukochaną panią i pragnęli się zemścić na Azji. Luśnia, wachmistrz, aż zgrzytał zębami na jego wspomnienie. Pan Zagłoba wysłał go do Kamieńca po doktora, z tem poleceniem, aby medyka przywiózł choćby we worku, gdyby nie chciał iść. Istotnie nazajutrz wieczorem wachmistrz Luśnia nadjechał wraz z ludźmi i wytrząsnął z worka przed fortalicją kamienieckiego medyka. Ów ledwie żył. Ale poznawszy, iż nie jest w zbójceckich, jak mniemał, rękach, ale że do chorej został w ten sposób zaproszony wkrótce, po przemijających mdłościach, zabrał się żywo do ratunku. I tej samej nocy jeszcze, prawie o samem świtaniu, widmo śmierci znikło: natomiast wyrok medyka: „Będzie długo chorowała, ale ozdowieje“ — rozebrzmiał radosnem echem po całym Chreptiowie. Gdy go pierwszy raz Wołodyjowski usłyszał padł na ziemię i rozsłochał się tak, iż zdawało się że łkania piersi mu rozerwą. Pan Zagłoba zesłał całkiem z radości, aż twarz mu się potem pokryła i ledwie zdołał zawołać: pić!“ Oficerowie brali się wzajem w ramiona.

## ROZDZIAŁ XLII.

Przez tydzień jeszcze Basia chorowała tak ciężko, że gdyby nie zapewnienie medyka, i mały rycerz

i pan Zagłoba byliby przypuszczali, że płomyk jej życia zgaśnie lada chwila. Dopiero po upływie tego czasu uczyniło się jej znacznie lepiej: przytomność wróciła jej zupełnie i chociaż półtora leżeć, przecie było już rzeczą pewną, że do zupełnego zdrowia powróci i dawne siły odzyska. Wołodyjowski, który w czasie choroby krokiem niemal nie odchodził od jej wezwłowa, pokochał ją po tej smutnej przygodzie — o ile to było możliwem, — jeszcze ogniściej i świata za nią nie widział. Z powrotem do zdrowia wracała w Chreptiowie radość. Mąciły ją tylko smutne wieści o napadzie Azji na Raszków. Inne fortalicje nie dały się podejść, więc zuchwały watażka udał się z jeńcami do Adrijanopola.

## ROZDZIAŁ XLIII.

Pewnego dnia Wołodyjowskim nadeszła niezawodna, jak sądzili, pomoc w osobach niespodzianych a miłych nad wszystko gości. Oto, pod wieczór, przyjechali bez żadnego poprzednio oznajmienia oboje Ketlingowie. Radość i zdumienie na ich widok były w Chreptiowie nieopisane. Krysia skoczyła zaraz do alkierza i w tejże chwili wychodzący stamtąd pisk i okrzyki oznajmiły rycerzom o uszczęśliwieniu Basi. Ketling z Wołodyjowskim trzymali się długi czas w objęciach, to odsuwając się wzajem od siebie na długość ramienia. to znów łącząc się w uścisku. Pokazało się w dalszej rozmowie, że pan hetman uczynił Ketlinga przełożonym nad kamieniecką artylerją, więc pojechał z żoną do



Kamieńca. Tam, dowiedziawszy się o nieszczęściu, jakie dotknęło Basię i Wołodyjowskiego, wybrali się oboje bez zwłoki do Chreptiowa.

#### RODZIAL XLIV,

Ketlingowie zabawili w Chreptiowie około trzech tygodni, poczem odjechali. Basia wracała wcześniej do sił, a tymczasem nadeszła wiosna a wraz z nią widmo nowej wojny z całą potęgą turecko-tatarską i kozacką. Jakoteż wkrótce nadszedł rozkaz hetmański, by pan Wołodyjowski ze swoim wojskiem udał się na służbę do Kamieńca, jako do klucza całej Rzeczypospolitej. List hetmański kończył się temi słowy: „Niebezpieczna o może być służba w Kamieńcu, wszelako my już do tego przywykli, że na owym deszczu mokniem, przed którym się inni chowają. Nam dość nagrody w sławie i wdzięcznej pamięci, ale główna rzecz Ojczyzna, do której ratowania pobudzać cię nie potrzebuję“. Nie namyślał się wcale pan Wołodyjowski, to też niezwłocznie wraz z Basią i panem Zagłobą ruszył na czele wojska do kamienieckiej twierdzy.

#### ROZDZIAŁ XLV.

Gdy ziemia obeschła i pobujały trawy, ruszył han własną osobą w 50.000 ordy krymskiej i astrachańskiej na pomoc Doroszowi i zbuntowanym kozakom. I sam chan i jego krewni sułtankowie, i wszyscy znaczniejsi murzowie i bejowie mieli na sobie kaftany w podarunku od padyszacha przysłane i szli na Rzeczpospolitą nie tak już, jako chodzili zwykle po łup i jas-

sy, ale na wojnę świętą, która miała przynieść zagładę państwu polskiemu i chrześcijaństwu. Druga jeszcze większa burza zbierała się pod Adrianopolem, a przeciw tej powodzi sterczała jedna kamieniecka opoka, zresztą Rzeczpospolita leżała, jak step otwarty, albo jak człowiek chory, niemocen nietylko się bronić, ale i powstać na nogi. Na rozkaz sułtana poruszyło się pół Azji i cała północ Afryki. Płynęły krocie zbrojnego ludu, setki tysięcy koni rżały na błoniu, setki tysięcy bawołów, owiec i wielbłądów pasło się obok stad koni. Można było mniemać, że z rozkazu Boga anioł wypędził ludy z Azji, jak niegdyś Adama z raju i kazał im iść w strony, w których słońce blednieje i step śniegiem się zimą pokrywa. Ileż tam było słychać języków, ile strojów różnorodnych błyszczało we wiosennem słońcu! Wzorowy ład i posłuch panowały wśród tych zastępów. W przedniej straży szli Lipkowie i Czeremisi pod wodzą syna Tuhaj-beja. Nazywano go synem Iwa.

#### ROZDZIAŁ XLVI.

Azji zaczęła przyświecać pomyślna gwiazda. Tatarzy otaczali go bałwochwalczą czcią, jako syna Tuhaj-beja i uznali go bezspornie swym nieograniczonym władcą. Sam wezyr Kara Mustafa zasięgali często jego rady, albowiem uchodził powszechnie za wielkiego znawcę stosunków w Polsce. Mimo wszystkich tych powodzeń młody Tatar nie czuł się wcale szczęśliwym, gdyż gryzła go tęsknota za Basią. Mścił się na Zosi Boskiej, która była niewinną i biedną ofiarą jego namiętności. Gdy w Bułgarii wyszedł w czasie pochodu



rozkaz sultański, wydalający z obozu wszystkie niewiasty, Azya sprzedał Zosię wraz z matką do Stambułu bogatemu kupcowi.

### ROZDZIAŁ XLVII.

Jeszcze przed wyruszeniem Turków z pod Adrijanopola ruch wielki uczynił się we wszystkich naddnie-strzańskich stanicach. Szczególniej do najbliższego od Kamieńca Chreptiowa przybiegali raz-wraz hetmańscy gońcy, przywożąc rozmaite rozkazy, które mały rycerz albo sam wykonywał, albo, o ile go nie dotyczyły, dalej przez pewnych ludzi rozsyłał. Wskutek tych rozkazów zmniejszyła się znacznie załoga chreptiowskiej fortalicji. Wołodjowski miał po staremu iść do Kamieńca, bo go tam potrzebował hetman, wiedząc, że jest to żołnierz, którego widok wleje otuchę w serca i podnieś ducha tak mieszkańców jak i załogi. Hetman był przekonany, że się Kamieniec nie utrzyma, chodziło mu tylko o to, by się trzymał jak najdłużej, mianowicie dopóki by Rzeczpospolita nie zgromadziła jakichkolwiek sił na obronę. W tem przekonaniu posyłał jakoby na oczywistą śmierć najślawniejszego Rzeczypospolitejka waleria i ulubionego żołnierza. Chodzić hetmanowi mogło tylko o to, aby naprzód Kamieniec zasłonił Rzeczpospolitą, później Rzeczpospolita resztę chrześcijaństwa. Poleciał też hetman, by młody Nowowiejski ruszył na podjazd przeciw Turkom. Wołodjowski dał mu na ten cel oddział dragonów i wachmistrza Luśnię, szczególnie zawziętego na Azyę. Sam Nowowiejski, który wysechł ze zmartwienia, chętnie się podjął niebezpiecznej funkcji, przeszedł Dniestr wplaw i wkrótce znalazł się w Mullanach.

### ROZDZIAŁ XLVIII.

Wyprawa Nowowiejskiego była bardzo śmiała, ale miała widoki powodzenia, gdyż mógł się on zacząć przed Turkami, a powtóre nie spodziewali się oni, by którykolwiek z polskich rycerzy miał odwagę wstąpić na ich ziemię. Oddział Nowowiejskiego szedł ciągle ku Przeczławowi tajemnie i unikając większych osad. Mieszkańcy tamtejsi brali ich za sultański oddział i dostarczali wszystkiego, czego tylko było im trzeba. W ciągu takiego pochodu dwutygodniowego otoczył Nowowiejski i wygniół trzy watahy pastusze, pozabierał im kożuchy i poubierał swoje wojsko, tak, że wyglądało w istocie jakby tatarskie. Teraz pochód miał niezmiernie łatwy. Niepoznany podszedł do oddziałów tatarskich i czekał tam, zapadłszy w gąszcze, na przednią straż ordzińską. Nowowiejski żył myślą, że gdy serce zemstą nasyci, będzie szczęśliwy. Aż dnia jednego zaczęły się zbliżać kupy tatarstwa. Przednią straż tworzyli Lipkowie i Czeremisi. Nowowiejski wziął kilku koniuchów do niewoli. Jednym z nich był Eliasiewicz, stary chreptiowski Lipek. Młody junak dowiedział się od niego, że Azya jego siostrę, Ewę, darował Adurowiczowi, a Zosię Boską trzymał u siebie w namiocie. Obie potem z stały sprzedane do Stambułu, gdyż wyszedł rozkaz od padyszacha, by w obozie nie było niewiast. Nowowiejski pod wpływem tych wiadomości o mało nie oszalał. Wieczorem poczęło się zanosić na burzę, olbrzymie chmury zakryły całe niebo. Młody junak kazał swoim żołnierzom siadać na koń i ruszył w kierunku obozowiska Azyi. Nagle buchnęło, jakby żarem z pieca i zerwał się wściekły huragan. Wśród rozszata-



łałej burzy trzystu jeźdźców uderzyło z szalonym impetem na dwutysięczny oddział Azyi i rozniosło go na szablach doszczętnie. Sam Azya omdlały i z połamaniem żebrami, ale żyw, dostał się w ręce Nowowiejskiego.

### ROZDZIAŁ XLIX.

Zbiegowie lipkowscy dali znać o klęsce sułtanowi, a ten nie mało się przeraził taką odwagą ze strony polskiej. Tymczasem Nowowiejski wjechał do Raszkowa. Tu rozpoczęła się straszna męka dla Azyi, nawleczono go na pał, a on jęczał z bólu choć z początku zęby zaciskał. Przed męką usiłował przebłagać Nowowiejskiego, mówiąc, że zwróci wolność Ewie i Zosi, ale młody junak wiedział już dobrze od Lipków, że obie sprzedano do Stambułu. Strasznej kaźni młodego Tatara dopełnił w Raszkowie sam Luśnia, wywierciwszy mu na pału drugie zdrowe oko i zapaliwszy okęczone smołą ręce. Dla powiększenia męczarni konania dowiedział się Azya przed śmiercią, że Basia ocalała.

### ROZDZIAŁ L.

W trzy tygodnie później stanął pan Nowowiejski w Chreptiowie. Drogę z Raszkowa odbywał dlatego tak długo, że częstokroć jeszcze przeprowiał się na drugą stronę Dniestru, podchodząc czambuły i perkułabskich ludzi wzdłuż rzeki, po różnych stanicach stojących. Ci opowiadali potem nadciągającym sułtańskim wojskom, że wszędzie widzieli polskie oddziały, a słyszeli o wielkich wojskach, które pewnie, nie czekając na przybycie Turków pod Kamieniec, same drogę im zaskoczą

i w walnej bitwie z nimi się zmerzą. Sułtan, którego zapewniano o bezsilności Rzeczypospolitej, bardzo się zdumiewał i wysyłając naprzód Lipków, Wołoszę i nadunajskie ordy, sam posuwał się powoli naprzód, bo pomimo swej niezmiernej potęgi, bitwy z regularnymi wojskami Rzeczypospolitej wielce się obawiał. Tymczasem pan Zagłoba odwoził Basię do Kamieńca, gdzie wrzały gorączkowe przygotowania do obrony. Choć wielki był strach przed nawałą turecką, ale na widok tych przygotowań wstąpiło męstwo w dusze wszystkich. Wołodziejowski radził przedewszystkiem zamki przed twierdzą leżące dobrze osadzić, bo mniemał, że tu najpierw nieprzyjaciel z całą potęgą uderzy. Przy Wołodziejowskim została główna komenda, chociaż miał ją przedtem generał podolski. Basię umieścił mały rycerz dla bezpieczeństwa w klasztorze Dominikanek, gdzie już była Ketlingowa. Przybył tu zaraz pan Michał i przywiózł z pola wiele nowin, ale chociaż mówiły one o bliskim niebezpieczeństwie, toć przecie Wołodziejowski z tą samą siłą powtarzał, że twierdzy nie da. Nazajutrz powtórzył to wobec starszyny wojskowej w Kamieńcu i obaj z Ketlingiem ślubowali uroczyście w katedrze wobec zgromadzonego ludu, że twierdzy nie poddadzą i bronić jej będą do ostatniego tchu, choćby się im nawet pod gruzami pogrzebać przyszło. Po nabożeństwie wychodził Wołodziejowski pod rękę z Ketlingem. Błogosławiono ich po drodze. Obaj poszli do klasztoru do swych żon.

### ROZDZIAŁ LI.

Tego dnia jeszcze przyszła wieść, że Tatarzy wieś okoliczną napadli i jassyr wzięli. Pan Wołodziejowski



natychmiast z chorągwią wyruszył, Tatarów rozgromił jassyr odebrał i jeńców wziął. Z jeńców wymuszono zeznanie, że sułtan już drugiego dnia w Chocimie z całą potęgą jest oczekiwany. Wieść, lubo spodziewano się jej każdej godziny, wielkie uczyniła wrażenie. Zdwojono gorliwość przy robotach, a w dniu 2. sierpnia stanął sułtan rzeczywiście pod Chocimem. Rozlały się pułki, jak morze bezbrzeżne i na widok ostatniego grodu, leżącego w granicach władzy padyszacha, okrzyk „Allach! Allach!“ wydarł się ze setek tysięcy gardzieli: Po drugiej stronie Dniestru leżała bezbronna Rzeczpospolita, którą te niezmierne wojska miały zalać jak powódź, lub pożreć jak płomień. Tłumy wojowników nie mogły się pomieścić w grodzie, gdzie kilkadziesiąt lat temu równie liczną armję proroka rozgromiły polskie szable. Sułtan najpierw wysłał Tatarów, Lipków i janczarów, by przeszli Dniestr i zajęli miasteczko Żwaniec z zamkiem. Nie czekał ich tam Lanckoroński, który postanowił bronić Żwańca, lecz jak huragan wypadł na nich i zmiotł, jak zmiata burza kupy liścia z drogi. W najgorętszej chwili przyszedł im z pomocą Wołodyjowski, rzucił się za nimi w pogoń, a gdy już byli na promie, jeszcze sławny łucznik Muszalski ustrzelił z łuku sternika i kilku janczarów. Widząc, jakich znamienitych czynów dokazał mały rycerz i jego towarzysze, zdumiewali się wszyscy i otuchą i wiarą w zwycięstwo rosły serca polskie. W twierdzy tymczasem u pana Potockiego narada. Naradzano się tylko nad skutecznymi sposobami obrony, ale o układach mowy się było. Postanowiono bronić się do upadłego, odebrać nieprzyjaciela, lub zginąć. Zapal ogarnął mieszczaństwo i lud. Gdy pan Wołodyjowski z kwatery wodza

naczelnego do siebie wracał, liczne tłumy otoczyły jego konia. Rozpoczęły się okrzyki i wiwaty. Matki podnosiły ku niemu dzieci. „Ów to jest! patrzajcie i pamiętajcie!“ powtarzały liczne głosy. Podziwiano go niezmiernie, ale najbardziej zdumiewała ludzi, nieświadomych wojny, jego drobna postawa.

## ROZDZIAŁ LII.

Nazajutrz o świcie huk dział zbudził małego rycerza: był to znak, że nieprzyjaciel jest już pod miastem. W pół godziny potem wypadł pan Wołodyjowski w pole na czele dragonów i ochotników szlachty, którzy liczyli, że na harcach można się będzie popisać. Ze starego zamku widać było doskonale kawalerję w liczbie około dwóch tysięcy, złożoną w części ze spahisów, przeważnie zaś z egipskiej gwardji sułtańskiej. Siedząc na koniach, przelatywali jeźdźcy tureccy naksztat tęczowego obłoku pole. Zbrojni byli we włócznie, krzywe bułaty i noże. Lecz pan Wołodyjowski sunął ku nim z jazdą. Trudno jednak było jednym i drugim zwrzeć się ze sobą w bitwie na białą broń, albowiem armaty zamkowe powstrzymywały Turków; ci zaś zbyt byli liczni, aby mały rycerz mógł skoczyć ku nim i rozprawić się z nimi poza doniosłością swoich dział. Czas więc jakiś jedni i drudzy kręcili się z daleka, wytrząsając na się bronią i krzycząc gromko. Poczem pojedynczy jeźdźcy zaczęli się odrywać od masy i przybliżać, wzywając głosem przeciwników na harcownika. Skoczył pan Muszalski, łucznik niechybny, ale i w ręcznym spotkaniu harcownik wyborny, skoczyli i inni i harce się rozpoczęły. Dragonów poszła również kupka, nadzieją bogatego łupu znęcona. Kilku Turków i Egip-



cjan zginęło już od strzał nie zrównanego łucznika lub w ręcznym spotkaniu z innymi rycerzami, legło też i kilku rycerzy i dragonów, najwięcej z ręki potężnego Hamdi-beja, najlepszego z harcowników tureckich. Skoro ten ostatni spostrzegł Muszalskiego, pierwszy wypuścił nafi czarnego żrebca. Obaj natarli się w środku pola. Chciał pan Muszalski siłą swą wielką się popisać i żywcem Hamdiego, pochwycić, więc podbiwszy mu silnem cięciem od dołu bułat w górę, zczepił się z nim, jedną ręką pochwycił go za gardło, drugą za ostrze mi-siurki i ciągnął potężnie ku sobie. Wtem pękł mu popręg u terlicy, więc niezrównany łucznik przekręcił się z nią razem i zwał się na ziemię. Upadającego zaś Hamdi uderzył rękajeścią bułata w głowę i ogłuszył na miejscu. Mały rycerz nie brał dotąd w tarcie udziału, bo mu na to nie pozwalała jego pułkowni-kowska powaga, lecz widząc upadek pana Muszalskiego i przewagę Hamdi-beja, postanowił pomścić łucznika, a zarazem swoim serca dodać. Ozywion tą myślą, wspiął ostrogami konia i sunął ukosem przez pole. Skoro się znalazł wśród jeźdźców, wichrzących się na polu, począł szerzyć klęski okropne. Nagle rozległy się wołania: „Hamdi! Hamdi!” To wyznawcy proroka przywoływali wielkimi głosami najtęższego ze swych wojowników, aby zmierzył się z tym straszliwym małym jeźdźcem, który zdawał się być śmiercią wcieloną. Hamdi wydał przeraźliwy krzyk i wypuścił ku małemu rycerzowi podobnego do wichru konia. Obaj przeciwnicy zwarli się w środku pola wśród dwóch zdala patrzących szeregów. Serca wszystkim zamarty na chwilę. Wtem błyskawica wężowa mignęła w jasnym słońcu nad głowami walczących: to krzywy bułat wyleciał

jakby podbita cięciwą strzała, z rąk Hamdiego, ten zaś pohlilił się na kulbace, a pan Wołodyjowski ucapił go lewą ręką za kark i przyłożywszy mu sztych rapiera do pachy, pognął ku swoim. Hamdi oporu nie stawiał i jechał jak ogłuszony, ręce mu tylko zwisły, a z oczu poczęły płynąć łzy. Wołodyjowski oddał go swoim dragonom, sam zaś nawrócił ku polu.

### ROZDZIAŁ LIII.

Cała potęga muzulmańska przybyła pod Kamieniec. Nazajutrz po opisanych wypadkach przybył wielki wezyr na czele licznego wojska, następnie chan z ordą, a nakoniec sam sułtan. Szli mieszkańcy Europy, Azji, Afryki, szli jako morze niezmierzone. Za nimi ciągnęły tabory olbrzymie z ładownymi wozami, zaprzężonymi w muły i bawoły. Mrowie to stubarwie w rozlicznych zbrojach i ubiorach ciągnęło się bez końca. Od świtu do nocy, bez przestanku, wchodzili, rozstawiali wojska, kręcili się po polach, ustawiali namioty, które taką przestrzeń zalegały, że z wież i najwyższych miejsc Kamieńca wcale nie można było dojrzeć wolnego od płócien pola. Ludziom zdało się, że śniegi spadły i całą okolicę pokryły. Rozstawienie taboru odbywało się przy huku strzelb, albowiem zasłaniający tę robotę oddział janczarów nie przestawał ku murom strzelać, z murów zaś odpowiadano nieustającym ogniem działowym. Grzmiało ocho po skałach, dymy unosiły się ku górze i zakryły błękit niebieski. Do wieczora Kamieniec był zamknięty, że chyba jedne gołębie mogły się zeń wy-dostać. Ogień ucichł dopiero, gdy pierwsze gwiazdy błysnęły na niebie. Przez kilka następnych dni ogień z murów i do murów trwał ciągle z wielką dla oble-



gających szkoda. Skoro tylko większa kupa janczarów zebrała się na doniosłość strzału, wnet biały dym wykwitał na murze, kule padały między żołnierzy, oni zaś rozpraszali się, jak stado wróbli, gdy ktoś z guldynki garść drobnego śrutu między nie wypuści. Turcy przystem, nie wiedząc widocznie, iż na obu zamkach w samym mieście są dalekonośne działa, poróżbijali zybliśko namioty. Za radą małego rycerza pozwolono im to uczynić i popiero, gdy z nadejściem chwili spoczynku, żołnierze chroniąc się przed upałem, zapełnili ich wnętrza, mury ozwały się nieustającym grzmotem. Powstał popłoch, kule rozrywały płótna i drągi, raziły żołnierzy, rozrzucaly ostre okruchy skał, Janczarowie cofali się w zamieszaniu i nieładzie, krzycząc wielkimi głosami i w ucieczce przewracali dalsze namioty, roznosząc wszędy trwogę. Na tak pomieszanych wypadł pan Wołodyjowski z jazdą i siekł, póki potężne hufy jazdy nie przysły im w pomoc. Ketling kierował głównie tym ogniem, sam pochylał się nad każdym działem, sam lont przykładał; następnie przykrywszy oczy ręką, patrzył na skutek strzałów i radował się w sercu, że tak pożytecznie pracuje. Lecz i Turcy kopali aprosze, sypali szańce i zaciągali na nie ciężkie działa. Zanim jednak bić z nich poczęli, nadjechał pod wały poseł turecki i zatknawszy na trzciniową dzidę pismo sułtańskie, ukazał oblężonym. Wystąpi dragoni porwali natychmiast posła i przywiedli go na zamek. Sułtan wzywał miasto do poddania, wynosząc pod niebiosa swoją potęgę i łaskawość. Namysłano się długo, jaką na owo pismo dać odpowiedź; niektórzy powiadali, że z tak straszną potęgą walka jest niemożliwa i doradzali układy. Powstał przeciwko temu pan Wołody-

jowski i wielu innych, chociaż i ci nie mieli już tej pewności siebie, co przedtem, i szczęśliwy rezultat obrony mniej prawdopodobnym im się wydawał. Odzież była niepodobną, bo hetman, pan Sobieski, chociaż wielki człowiek, był wówczas bezsilnym. Bezsilnym był również król, bezsilną cała Rzeczpospolita. Narada skończyła się jednak na tem, że postanowiono i nadal się bronić. Odpowiedź brzmiała jak następuje: „Sułtana gniewać nie chcemy, ale słuchać go nie mamy obowiązku, bośmy nic jemu, jeno naszemu panu przysięgali. Kamieńca nie damy, gdyż nas przysięga wiąże, twierdzy i kościołów do śmierci bronić“.

#### ROZDZIAŁ LIV.

Następnego dnia Turcy pozaciągali wiele ciężkich dział na pozycje i kule ich były wpadać w miasto. Rozpoczęły się ciężkie czasy dla oblężonych. U Turków zmieniali się puszarze cztery razy na dobę, lecz w mieście jedni i ci sami musieli wytrwać bez snu, prawie bez jedzenia, nawpół uduszeni od dymu; wielu było rannych od rozprysnięcia tych kamieni i złomków lawet. Który poległ, nie było go kim zastąpić. Żołnierze wytrwali, ale w mieszczanach poczęło słabnąć serce. Niechętnie szli do armat, przy których zresztą gęstym padali trupem. Na szczęście trzeciego już dnia główny impet zwrócił się na zamki. Zasypywano je, a szczególnie stary zamek, granatami, a mały rycerz, Ketling i inni odpowiadali na ogień turecki. Wołodyjowski w przerwach w strzelaniu słyszał wyraźnie odgłosy kilofów, bijących w ścianę skalną: był to znak nieza-



wodny, że Turcy drążą minę podziemną, by nowy zamek wysadzić w powietrze. Zrozumiał, że nie pozostaje nic innego, jak tylko działa zabrać i przenieść się do starego zamku, który wznosi się na takich skałach, że go i najsilniejsze miny nie rozsądzą. Jeden z granatów upadł na dach kaplicy luterskiej. Tam, że sklepienie było bardzo mocne, zniesiono amunicję, lecz pocisk przebił sklepienie i zapalił prochy. Huk potężny, silniejszy od grzmotu dział, wstrząsnął posadami obu zamków. Z blanków odezwały się głosy przerażenia, armaty polskie i tureckie umilkły. Wołodyjowski skoczył na mury. Przez chwilę słychać było, jak wydawał rozporządzenia, lecz komendę jego zgłuszyło warczenie bębnow w szańcach tureckich. Jakoż Turcy, usłyszawszy wybuch, wyobrazili sobie widocznie, że oba zamki muszą być zrujnowane, a obrońcy częścią zagrzebani w gruzach, częścią przejęci strachem. W tej myśli gotowali się do szturm, nie wiedząc, że sama tylko kaplica luterska wyleciała w powietrze, wybuch zaś, prócz wstrząśnienia, nie przyczynił innych szkód i nawet żadne działo nie wypadło z łoża na nowym zamku. Noc uczyniła się pogodna i przy świetle księżycy widać było, jak tłumy janczarów zsunęły się z szańców i biegły kłusem ku zamkowi. Dragoni z muszkietami położyli się wiankiem na blankach, dysząc zawziętością. Nastąpiła cisza, słychać było tylko odgłos szybkiego stąpania janczarów. Pewni byli, że jednym zamachem ogarną oba zamki. Mniemali, że resztki obrońców cofnęły się już do miasta i że na blankach pustka. Dobiegłszy do fosy, poczęli ją zarzucać faszyną, worami słomy i zarzucili w mgnieniu oka. Na murach była ciągle cisza. Lecz gdy pierwsze szeregi wstąpiły

już na podściel, którą zarzucona była fosa, pan Wołodyjowski zakomenderował: „Ognia!“ Rozległ się grzmot dział, grzechotanie samopałów i muszkietów. Żaden strzał nie był daremny. Działa, nabite kartaczami, poprostu kładły ludzi mostem, jak wicher gwałtowny kładzie za jednym podmuchem łan zbożowy. Janczarowie, odbieżawszy fosy, uciekali, jak obłąkani, z rykiem przestachu. Atak został na całej linii odparty. Nastąpiła cisza. Pomęczeni dragoni popadali, jak snopy, na ziemię i zasnęli kamiennym snem.

#### ROZDZIAŁ LV.

Od rana rozpoczęło się znów strzelanie, które cały dzień trwało i niemałe szkody obleżonym przyniosło. W nowym zamku trzymać się dłużej było niepodobieństwem, zwłaszcza, że i miny mogły już lada chwila wybuchnąć. Przeniesiono zatem, wśród ciągłej strzelaniny, wszystkie armaty, prochy i zapasy żywności na stary zamek. Ten, iż na opoce był fundowany bez porównania dłużej mógł wytrzymać. Pan Wołodyjowski, zapytywany o to na radzie, iż byle nikt układow nie poczynił, gotów i rok bronić. Słowa jego doszły do miasta i wlały niezmierną otuchę w serca, wiedziano bowiem, że mały rycerz słowo zdzierży, choćby życiem miał za to przypłacić. Pod nowy zamek podłożono miny i główna część jego utworzyła jeden olbrzymi wał gruzów. Gruzy owe utrudniały wprawdzie przystęp do starego zamku, ale dawały doskonałą zasłonę strzelcom, a co gorzej górnikom, którzy wnet nową minę wiercić poczęli. Obleżeni nie mogli razić nieprzyjaciela z dział, bo go widac nie było. Wołodyjowski kazał miotać na nieprzyjaciela ręczne granaty, które wiele



szkód czyniły, ale z dział zamkowych mało strzelano czem niepomału stropili się panowie rada w mieście, „Nie strzelają, to widać i sam Wołodyjowski zwątpił już o obronie“ — takie było powszechne mniemanie. Z wojskowych żaden nie śmiał pierwszy wypowiedzieć, że pozostaje już tylko najlepsze warunki uzyskać. Posłano do pana Potockiego po wiadomości z zamku. Ów odpisał: „Zdaniem mojem, zamek i do wieczora się nie utrzyma, ale tu myślą inaczej“. Po przeczytaniu tej odpowiedzi nawet i wojskowi poczęli mówić: „Zyniliśmy, cośmy mogli, nikt tu siebie nie oszczędzał, ale jak nie można, to nie można — i trzeba się o kondycje ułożyć“. U wszystkich zatem poczęły się budzić wzmagające się objawy niechęci, zwątpienia i bojaźni i wielu myślało o poddaniu się, ale pan Wołodyjowski nie dawał nawet sobie o tem powiedzieć. Wraz z Ketlingiem bronił twierdzy zapamiętałe. Nocną porą urządził wycieczkę, która się świetnie powiodła. Górników w lochach podziemnych wybito do nogi, a narzędzia ich połamano i rozrzucono. Ten szalony opór zaczął powoli zniechęcać już samych Turków.

## ROZDZIAŁ LVI.

Nazajutrz o wschodzie słońca rozległo się znów kowanie po lewej stronie zamku, tak głośne i silne, jak nigdy dotąd. Widocznie Turcy wiercili z pośpiechem nową minę, najpotężniejszą ze wszystkich. Wielkie oddziały wojsk strzegły opodal tej roboty. Niebawem ozwały się wszystkie tureckie działa. Lciały kule, granaty, kartacze; leciał na głowy broniących się gruz,

cegły, tynk; dym pomieszał się z kurzawą, żar ognia z żarem słonecznym. Piersiom brakło powietrza, oczom widoku; huk armat, syczenie granatów, zgrzyt kul po kamieniach, wrzaski tureckie, okrzyki obrońców, utworzyły jedną straszliwą kapełę, której do wtóru brzmiały echa skał. Zasypywano pociskami zamek, zasypywano miasto, wszystkie bramy, wszystkie baszty. Lecz zamek bronił się zaciekle, piorunami na pioruny odpowiadał, trząsał się, świecił, dymił, huczał, ział ogniem i śmiercią i zniszczeniem, jakby go jowiszowy gniew uniósł, jakby się zapamiętał wśród płomieni, jakby chciał zgłuszyć tureckie gromy i w ziemię się zapaść lub zwyciężyć. Dwakroć szli janczarowie do wylotów i dwakroć, wymościwszy ciałami ziemię, cofnęli się w popłochu. Tak upływały całe godziny. Z każdą chwilą stawało się widoczniejszym, że ów niepohamowany zamek bierze górę w walce, że przekrzyczy tureckie grzmoty i że on wypowie ostatnie słowo zwycięstwa. Nagle stało się coś dziwnego. Oto wszystkie działa tureckie zamilkły od razu, jakby kto nożem uciął. Przekonano się niebawem, że w mieście zatknięto białą chorągiew i zaczęto się układać o poddanie. Istotnie wkrótce wrócili komisarze z doniesieniem, że miasto i twierdzę oddano na wieczne czasy w ręce sułtana. Wówczas zrozumiał Wołodyjowski, że przyszła nań ostatnia godzina, bo stokroć lepsza śmierć na polu chwały, niż hańba niewoli w jarzmie tureckiem. Dopilnował osobiście, by wojsko opuściło zamek, poprosił pana Muszalskiego, by Basi powiedział w jego imieniu tylko słowa „nic to“; poczem pożegnał się serdecznie z Ketlingiem. Ten ostatni odszedł do podziemia zamku, by zapalić nagromadzone tam prochy. Jakoż po chwili



zakołysały się bastjony, straszliwy huk wstrząsnął powietrzem i cały zamek wyleciał w powietrze.

—:—

Tak zginął Wołodyjowski, Hektor kamieniecki, pierwszy żołnierz Rzeczypospolitej.

W kolegiacie stanisławowskiej stał na środku kościoła wysoki katafalk, rzęsiście obstawiony świecami, a na nim leżał w dwóch trumnach, ołowianej i drewnianej, pan Wołodyjowski. Wieka były już zabite i właśnie odprowadzono pogrzeb. Wszystkie dzwony biły w kolegiacie. Kościół zapełniony był tłumem szlachty i żołnierzy, którzy ostatni raz chcieli rzucić okiem na trumnę pierwszego Rzeczypospolitej kawalera. Szeptano, że sam hetman ma na pogrzeb przyjechać, że jednak nie było go dotąd widać, a lada chwila mogli nadejść czambułem Tatarzy, przeto postanowiono nie odkładać ceremonji. Starzy żołnierze, przyjaciele lub podkomendni nieboszczyka, stanęli wieńcem koło katafalka. W środku żołnierskiego koła leżała krzyżem na podłodze Basia, a obok niej stary, zniedołężniały i trzęsący się pan Zagłoba. Po mszy na ambonę wszedł ksiądz Kamiński i rozpoczął wspaniałe kazanie. Gdy w uniesieniu wzywał Boga, by zesłał pogromcę Mahometa, nagle rum uczynił się przy drzwiach i do kościoła wszedł pan hetman Sobieski. Oczy wszystkich zwróciły się na niego, dreszcz wstrząsnął ludźmi, a on szedł z brzękiem ostróg ku katafalkowi, wspaniała z twarzą Cezara, ogromny... Zastęp żelaznego rycerstwa szedł za nim. „Salvator!“ — krzyknął w proroczem uniesieniu ksiądz. A on klęknął przy katafalku i począł się modlić za duszę Wołodyjowskiego.

## EPILOG.

W rok przeszło po upadku Kamieńca wystąpiła nareszcie Rzeczpospolita w obronie swych wschodnich granic i wystąpiła zaczepnie. Wielki hetman Sobieski poszedł w trzydzieści jeden tysięcy jazdy i piechoty w sultańskie ziemie, pod Chocim, by uderzyć na potężniejsze nierównie zastępy Husseina baszy, stojącego pod tymże znakiem. Imię pana Sobieskiego było już straszne nieprzyjacielowi. Przez ów rok, po upadku Kamieńca, mając zaledwie kilka tysięcy wojska, dokazał bardzo wiele: poszarpał niezliczoną armję sultana, wygniół mnóstwo czambułów i odbił wielkie tłumy jassyru. Nakoniec, uderzywszy pod Chocimem na niezliczone mrowie turecko-tatarskie, odniósł świetne zwycięstwo, które przyniosło mu koronę królewską. Nie zaniechał ukoronowany hetman dalszej walki ze śmiertelnymi nieubłaganym wrogiem chrześcijaństwa, a w dziesiątym roku panowania swego, w pamiętnym dniu 12-go września 1683 roku pozyskał sobie nieśmiertelną sławę w całym świecie, obaliwszy w proch potęgę turecką pod Wiedniem. I odtąd przestali być Turcy postrachem narodów chrześcijańskich, gdyż klęska, jaką ponieśli pod Wiedniem, była ciosem zabójczym dla ich potęgi.

### Tło historyczne „Pana Wołodyjowskiego“.

Doroszeńko, hetman kozacki, który przez szereg lat wicherzył przeciw Polsce na Ukrainie, poddał się pod protektorat Turcji. Skutkiem tego sultan Mahomet IV. mimo klęski, jaką mu w r. 1664 zadała Austria pod opactwem św. Gotharda, zwrócił się przeciw Pol-



sce i postanowił zdruzgotać to niezdobyte dotychczas przedmurz chrześcijaństwa. W r. 1671 hetman Sobieski, mając nieliczną garstkę wojska, szczęśliwie walczył z Tatarami i Doroszeńką. W następnym roku olbrzymia armja turecko-tatarska i kozacka ruszyła przeciw Polsce, a na czele tego mrowia wojowników stał sam sułtan. W Rzeczypospolitej tymczasem wskutek domowych nieporozumień, rozterek i sprzecznych rozkazów króla i hetmana panował bezład i zamęt. W tym zamęcie ogołocoło z wojska Podole, poczem armja turecka otoczyła ze wszech stron Kamieniec podolski i mimo bohaterkiej obrony zmusiła tę kresową twierdzę do poddania się. Do r. 1699 a zatem przez 27 lat twierdza ta, będąca kluczem Polski od wschodu i południa, zostawała w tureckich rękach.  $\angle$  pod Kamieńca sułtan ruszył w stronę Lwowa, pałac i niszcząc po drodze wsie i miasta, zostawiając wszędzie tylko gruzy i zgliszcza. Lwów jednak oparł się strasznej nawale wrogów, a obroną tego grodu dzielnie kierował Eliaszk Łącki. Za wdaniem się chana tatarskiego zawarto pokój w Buczaczu w r. 1672. Był to najhaniebniejszy pokój, jaki kiedykolwiek Polska zawarła: Ukrainę odstąpiono Doroszeńce pod zwierzchnictwem tureckim, a Podole z Kamieńcem Turcji, która je na swój paszalik obróciła; zapłacono okupu 80.000 talarów i zobowiązano się do corocznego haraczu. Traktat buczacki był zbyt upokarzający i haniebny by Polska mogła na serjo myśleć o jego dotrzymaniu. Toteż nie płacono sułtanowi haraczu, a rozgniewany Mahomet IV. wyprawił na Polskę nową armję, na której czele stał Hussein basza. Rzeczypospolita, nauczona doświadczeniem, zwróciła się za granicę do cesarza i cara z prośbą o pomoc. Roz-

poczęto też przez władzę lwowskiego Szumlańskiego układy z Doroszeńką. Ponieważ układy te nie doprowadziły do skutku, przeto same wojska polskie pod naczelnym dowództwem Sobieskiego ruszyły pod Chocim, gdzie się Hussein na dawnym stanowisku Chodkiewicza obozem rozłożył. Szturm na obóz turecki przez Sobieskiego przypuszczony, skończył się jednym z najświetniejszych zwycięstw oręża polskiego: 10.000 Turków poległo, drugich tyle utonęło w ucieczce przez most na Dniestrze, zdobyto 66 chorągwi i 120 dział tureckich.

#### Charakterystyka postaci powieści.

Michał Jerzy Wołodjowski, to żołnierz w każdym calu, karny, odważny aż do granic zuchwalstwa, to mistrzowski zagończyk, który świetnie potrafi podejść czambuł tatarski, poszarpać wroga, wyciąć do ostatniej nogi. W wirze walki, na stepie i w obozie czuje się w swoim żywiole. Niedościęgnięty mistrz na pałasze, w pojedynku i w ręcznym spotkaniu na poln bitwy, niema równego sobie w całej Polsce, ba, może nawet w całej Europie. Niepospolita dusza pana Michała mieszka jednak w małym ciele, dlatego też ten największy żołnierz Rzeczypospolitej, ten Hektor Kamieniecki, jest niepozorny, niemal śmieszny na pierwszy rzut oka. Charakteryzuje go niski wzrost, zadarty nos, mina najczęściej z głupia frant, oraz spiczaste, żółtego koloru wąsiki, które często poruszają się jak u chrabąszcza. Niepoczesny wygląd jest przyczyną jego



ciągłych niepowodzeń u kobiet. Mimo niesłuchanej kochliwości, poczciwego serca i wszystkich swych niepopolitych zalet, ciągle otrzymuje rekuzy. Jest to dlań prawdziwą tragedją, gdyż z całej duszy tęskni za życiem rodzinnem i za ukochaną niewiastą, którą mógłby nazwać swą żoną. Dopiero po czterdziestym roku życia spotyka go zasłużona nagroda za rany, trudy i męki wojenne w postaci uroczej Basi. Nie długo jednak trwało szczęście małżeńskie. Wybuchła nowa wojna i pan Michał został mianowany komendantem twierdzy kamienieckiej. Dźwigał niejako na sobie honor Rzeczypospolitej, nic więc dziwnego, że jako prawy Polak, patriota i dzielny żołnierz, wolał raczej wysadzić się wraz z twierdzą w powietrze, niż przyjąć haniebne warunki z rąk wroga. W tym tragicznym momencie mały, niepozorny pan Michał wyrasta w naszych oczach do najwyższych szczytów bohaterstwa. Słusznie też Sienkiewicz nazwał go „Hektorem kamienieckim“.

Basia Jeziorowska, podobnie jak pan Michał, jest charakterem „czystym, jak łąca“. Twarcyzkę ma różową, drobną i wdzięczną, jak u dziecka, oraz złote, krótko ucięte włosy, ujęte siatką, które często opadają jej niesfornie aż na oczy. Odznacza się niezmiernie żywym temperamentem, przypomina więc chwilami rozhukanego chłopca. Pan Zagłoba trafnie nazwał ją „hajduczką“. Wychowana na kresach Rzeczypospolitej, wśród stepów, ma w sobie coś z rozhukanego żrebca stepowego. Kocha się w życiu żołnierskiem i uwielbia dzielnych żołnierzy, nic więc dziwnego, że większą uwagę zwróciła na małego i niepozornego pana Michała, niż na urodziwego Ketlinga. Bolało ją to, że ten wielki żołnierz traktuje ją jak dziecko. Gdy Wołodyjowski

uczy ją szermierki i wytrąca jej od niechcenia szabelkę z ręki, Basia dąsa się, jak mała dziewczynka. Gdy Krzysia zawiodła nadzieje małego rycerza, Basia, nie mogąc już dłużej ukrywać swego uczucia, wyznała mu swą miłość i zyskała wzajemność. Po ślubie oboje małżonkowie przeżyli razem kilka szczęśliwych lat. Basia sama, mając żołnierską naturę, towarzyszyła swemu mężowi w półdzikich stanicach stepowych. Nauka fechtunku nie poszła w las, gdyż dzielnie spisywała się w boju, walcząc u boku męża. Gdy wybuchła wojna z Turcją i gdy ukochany Michał został komendantem twierdzy kamienieckiej, Basia nie wahała się ni chwili zamknąć się wraz z nim wśród murów i znosić trudy i znoje oblężenia. Wołodyjowski przeczuwał rychły zgon, to też starał się przygotować swą żonę na to najgorsze, co ją mogło spotkać. A gdy mąż zginął bohaterką śmiercią, wierna mu do grobu i poza grób Basia, półprzytomna z bólu poszła z Kamieńca aż do Stanisławowa za wozem, na którym spoczywała trumna, kryjąca zwłoki najdroższego na świecie człowieka.

Azya Mellechowicz jest charakterem ujemnym, w którym niewiele jest cech sympatycznych i dodatnich. Prawdziwy to Tatar, dziki, porywczy, samolubny, zdolny do największych okrucieństw. Czując w sobie krew wielkiego Tuhaj-beja, marzy o hetmaństwie tatarskiem, widzi w snach swoich mrowie azjatyckich wojsk, posłusznych mu na każde skinienie. Polsce służy, o ile ona dopomoże mu do spełnienia ambitnych planów, a gdy ona jednym pociągnięciem pióra niszczy jego sny, w piersi Azyi budzi się szatan pychy i zdrady. Nie waha się ni chwili, przechodzi bez namysłu na stronę śmiertelnych wrogów Rzeczypospolitej, oraz w sposób



iście tatarski nasyca swą żądzą zemsty, zarzynając kindziałem starego pana Nowowiejskiego. Basię kocha również po tatarsku, w sposób dziki, brutalny, nie liczący się z nikim ani z niczem. Względy etyki nie istnieją dla Azyi. Nie bacząc na to, że Basia jest zamężna, porywa ją od boku męża. Ale wszelki grzech się mści, to też syna Tuhaj-beja spotyka kara tak straszna, jak strasznym był jego grzech. Wszystkie jego ambitne sny obróciły się w nicość. Skonał samotnie na palu, a przed śmiercią, dla powiększenia męczarni konania, dowiedział się, że ukochana przezeń Basia wróciła szczęśliwie do męża. Dodatnim i sympatycznym rysem charakteru Azyi jest tylko jego męstwo. Jest on naprawdę odważnym junakiem, nie mającym wielu sobie równych.

Hassling-Ketling of Elgin, spolszczony Szkot, jest charakterem bardzo sympatycznym. Mieszka w nim rycerz i kochanek, dzielny żołnierz i trubadur. Jest bardzo piękny, to też ma duże powodzenie wśród kobiet. Znalazł godną siebie towarzyszkę życia w osobie pięknej Krzysi, która się z nim związała na zawsze. Polska dała mu wszystko, co dać mogła: szlachectwo, przywileje, piękną i dobrą żonę, dostatek, a nawet bogactwo — i nie natrafiła na niewdzięcznego syna. Ketling służył dzielnie swej nowej ojczyźnie, jako dobry patrijota i mężny rycerz, a w chwili decydującej nie wahał się złożyć swego życia w ofierze za jej całość i bezpieczeństwo. Wysadza się wraz z Wołodyjowskim w powietrze, nie mogąc znieść hańby upokorzenia i w momencie tym wyrasta w naszych oczach do granic prawdziwego bohaterstwa.

Krzysia Drohojowska jest piękną panią o tklivem i kochliwem serduszkem, ale brak jej tempe-

ramentu. Jest naturą bierną, która łatwo ulega i nie potrafi obronną ręką wydobyć się z pośród zawikłanych stosunków życiowych. Zrazu pokochała Wołodyjowskiego i przyrzekła mu swą rękę, ale gdy na drodze jej życia stanął piękny Ketling, pan Michał od razu znalazł w jej oczach. Poznała swój błąd. Nie mogąc już oddać swej ręki Ketlingowi, wybiera drogą natur biernych, nie umiejących walczyć ze życiem: chce wstąpić do klasztoru. Pomyślne zmiany, jakie w międzyczasie zaszły, łączą ją węzłem małżeńskim z ukochanym mężczyzną i obdarzają prawdziwym szczęściem, które jednak nie trwało długo.

K O N I E C .





- 39 Słowacki: „Hugo”, „Mnich”, „Arab”, „W Szwajcarji”,  
opracował Adam Sulima.  
40—41. Mickiewicz: „Dziady”, cz. III., opracował Adam Sulima.  
45—46. Słowacki: „Balladyna”, oprac. dr. Tadeusz Nittmana.

### Serja II. Biblioteka krytyk literackich i komentarzy.

(każdy tomik zawiera dokładną treść, charakterystykę osób i genezę utworu).

1. Sulima A.: Komentarz do trzeciej części „Dziadów” Mickiewicza.
  2. Sulima A.: Komentarz do „Kordjana” Słowackiego.
  3. Sulima A.: Komentarz do „Irydjona” Krasińskiego.
  4. Dr. Zatorski Zbigniew: Komentarz do „Chłopów” Reymonta.
  5. Zatorski Zbigniew prof.: Komentarz do „Anhellego”.
  6. Sulima A.: Komentarz do „Nieboskiej Komedji”.
  7. Zatorski Zbigniew: Komentarz do „Popiołów” Żeromskiego.
  8. Zatorski Zbigniew prof.: Komentarz do „Ogniem i mieczem” Sienkiewicza.
  9. Zatorski Zbigniew prof.: Komentarz do „Potopu”.
  10. Zatorski Zbigniew prof.: Komentarz do „Pana Wołodyjowskiego” Sienkiewicza.
  11. Zatorski Zbigniew prof.: Komentarz do „Placówki”.
  12. Dr. Nittman Tadeusz: Komentarz do „Balladyny”.
- Zbigniew Zatorski prof.: Polska literatura poromantyczna.

Część I. Okres realizmu 4 zeszyty razem w jednym tomie lub osobno do nabycia:

- Zesz. 13. Asnyk, Kraszewski, Świętochowski.  
 14. Henryk Sienkiewicz.  
 15. E. Orzeszkowa i M. Konopnicka.  
 16. Bolesław Prus.

Część II. Okres modernizmu 4 zeszyty razem w jednym tomie lub osobno do nabycia:

- Zesz. 17. Stefan Żeromski.  
 18. Stanisław Wyspiański.  
 19. St. Przybyszewski i J. Kasprzewicz.  
 20. Reymont, Sieroszewski, Zapolska, Orkan, Tetmajer, Rydel, Staff, Żuławski.  
 21. Zatorski Zbigniew dr.: Komentarz do „Starej Baśni” Kraszewskiego.  
 22. ————— Komentarz do „Listopada” Rzewuskiego.